

Gazeta Śremska



3-4/2017
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
marzec/kwiecień
rok XXVII
cena 5 zł

The background of the entire page is a photograph of Easter eggs and willow branches. There are purple and yellow eggs with white floral patterns. A purple ribbon with white polka dots is draped across the top left, and a yellow ribbon is draped across the bottom right. Willow branches with green buds are also visible.

Z okazji Świąt Wielkanocnych, wszystkim Mieszkańcom
gminy Śrem życzymy wiele radości, ciepła,
miłości i wzajemnej życzliwości.

Niech ten świąteczny czas zapisze się w sercach
jako niezwykle, głębokie przeżycie, które owocować
będzie szczęściem, nadzieją
i wewnętrznym spokojem każdego następnego dnia.

Katarzyna Sarnowska
Przewodnicząca
Rady Miejskiej w Śremie

Adam Lewandowski
Burmistrz Śremu

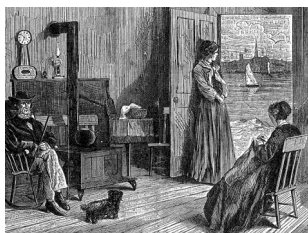




444 słowa Jubilata

Jako młody człowiek, beczelnie wierzący w swoje zawodowe przekonania, 1 kwietnia 1992 r. zacząłem mieć realny wpływ na wizerunek i działalność Muzeum Śremskiego. Zegar bezpośpiechu wybijał godziny.

str. 04



Latarniczka i Latarnik

W 1881 r. w Ameryce Ida Lewis, latarniczka z Newport, otrzymała Złoty Medal za Ratowanie Życia od prezydenta Granta za ocalenie dwóch żołnierzy, którzy zapadli się pod łód na portowych wodach. W 1881 r. w Polsce ukazała się nowela Henryka Sienkiewicza *Latarnik*.

str. 30



Teatr, na szczęście

Tak, bo z okrucichów naszego życia wciąż tworzy jego nowe obrazy. Dobiera środki najdobitniej wyrażające przesłanie twórców, by dociec prawdy o nas, naszej kondycji, nadziejach, a także niebezpieczeństwach. Ten ostateczny sceniczny efekt może nam się wcale nie podobać.

str. 47

Spis treści

str. 03 444 słowa redaktora naczelnego

str. 04 Wojciech Młynarski

str. 06 Jędrzej Daleki – pradziadek mojej Babci
Anieli, żołnierz wojen napoleońskich.
Część VII

str. 10 Zespół

str. 12 Trzydzieści i trzy

str. 16 Wieści z ratusza

str. 20 Najważniejsza była ulica Farna

str. 24 Kto czyta książki, żyje podwójnie

str. 27 „Inni”, czyli kilka słów o protestanckich
ruchach religijnych. Część I

str. 30 Latarniczka i *Latarnik*

str. 34 Szczepan Twardoch. Król twardzieli

str. 36 Kwestionariusz kultury

str. 38 Nasz talent: Julia Mozgawa i Christoph
Czapla

str. 40 *Kret / El Topo*

str. 42 Wspomnienie o Marii Chlebovskiej

str. 44 Dani Karavan *Reflection*

str. 46 Okiem belfra

str. 47 Teatr, na szczęście

str. 50 Muzeum – wydarzenia

str. 54 ŚOK – wydarzenia

str. 56 Śremianie w Teatrze Miejskim w Lesznie

str. 58 Biblioteka – wydarzenia

marzec kwiecień 2017

444 słowa redaktora naczelnego

Kiedy udaję się w długą podróż, to zawsze przychodzi moment powrotu i za każdym razem droga do domu, biegnąca zwykle idealnie po tej samej trasie mija szybciej. Z czasem i drogą tak po prostu u mnie jest, nawet wtedy, gdy jest to droga życiowa. Zgodnie z tą zasadą pierwsze dwadzieścia pięć lat życia biegło powoli, drugie prędzej, trzecie śmiga. Jako młody człowiek, bezczelnie wierzący w swoje zawodowe przekonania, 1 kwietnia 1992 r. zacząłem mieć realny wpływ na wizerunek i działalność Muzeum Śremskiego. Zegar bez pośpiechu wybijał godziny. Droga w początkowej fazie podróży wydaje się przecież, co już ustaliłem, dłuższa. Wszystko jest przed nami, wymaga zainteresowania, a to wyklucza beznamiętny pęd.

„Róbmy swoje” pomyślałem słowami zmarłego kilka dni temu Wojciecha Młynarskiego. Po pierwsze, w klasyczne, naznaczone nudną statecznością muzeum trzeba wstrzyknąć element bieżącej użyteczności, czyli tworzenia wydarzeń i propozycji, które pozwalają skupić grupę ludzi identyfikujących się z działalnością muzeum, mających wiedzę na tematy istotne dla muzeum czy posiadających także swoje zbiory. Po drugie, konieczna jest „personalizacja”, nadanie cech rozpoznawalności poprzez niepowtarzalną kolekcję muzealną właściwą dla miejsca. Potrzebie, dobrze i ciekawie opowiadać historie i historię.

Rozpoczęliśmy od przygotowania i realizacji programu wystawienniczego obejmującego: rocznice wydarzeń lokalnych lub narodowych, kolekcje prywatne, podzbiory Muzeum Śremskiego, historię Śreму w ujęciu problemowym, sztukę i dawne rzemiosło. Stworzyliśmy wyróżniającą Muzeum Śremskie kolekcję kusz, które – wykonane współcześnie przez śremsianina Jerzego Jurgę – doskonale odpowiadają historycznym

pierwowzorom. Przygotowaliśmy koncepcję i realizację muzealnego przedsięwzięcia „Fotatelier w dawnym stylu” zakładającego złamanie bariery między widzem a ekspozycją poprzez wspólne kreowanie rzeczywistości muzealnej utrwalanej w sepiowej fotografii. Był to punkt wyjścia do współczesnego muzeum interaktywnego. Zrealizowaliśmy pomysł multimedialnej prezentacji edukacyjno-patriotycznej „Wideoklip do hymnu”. Punktem wyjścia prac nad koncepcją wystawy było przejęcie idei zamkniętego Muzeum Józefa Wybickiego w Manieczkach. Przestrzenie ekspozycyjne zdominowane przez system multimedialny, projekcje wideo, zindywidualizowane stoiska audio-wizualne mają za zadanie zachęcić dzisiejszego odbiorcę do czynnego udziału w dialogu społecznym dotyczącym współczesnych form patriotyzmu. Przekształciliśmy lokalną gazetę informacyjną w czasopismo twórców i odbiorców kultury oraz miłośników historii. Wypełniliśmy treścią wszystkie trzy postulaty.

I tak od 1 kwietnia 1992 roku upłynęło 25 lat. Muzeum odeszło od dziewiętnastowiecznego modelu, w którym cenne obiekty kurzą się i nudzą i od późniejszych jego modyfikacji, gdzie samotne zabytki czekają na pasjonata lub chociaż wycieczkę szkolną czy zakładową. To nie byłoby możliwe bez wielu ludzi pracujących dla Muzeum przez cały ten czas. To oczywisty zbieg okoliczności, że w tym samym roku mija 25 lat od debiutu WOŚP. Mając na uwadze proporcje, w obu przypadkach zaangażowanie w sprawę ma decydujące znaczenie dla ostatecznego rezultatu. Czas i świat będą coraz prędzej. Do pierwszego trzeba przywyknąć, drugiemu nie dać się wyprzedzić. Najlepiej, jak Wielka Orkiestra, grać, i grać, i grać...

Mariusz KONDZIELA

Wojciech Młynarski

1941-2017



Foto: Jarosław Kruk

Idź swoją drogą (Comme d'habitude)

(...)
Bo przecież jest
Nie jeden szlak
Gdzie trudniej iść
Lecz idąc tak
Nie musisz brnąć
W pochlebstwa dym
I karku giąć
Przed byle kim
Rozważ tę myśl
A potem idź
Idź swoją drogą

Przetrwamy

(...)
Dopóki chętnych na cokoły
nie ma zbyt wielu kandydatów,
dopóki siada się do stołu,
by łamać chleb - nie postulaty,
dopóki z sobą rozmawiamy
z szacunkiem, ciepło, szczerze, miło
a nie z bezmyślną, tępą siłą,
przetrwamy...

Uwierzmy, szarzy i zmęczeni,
że ten nasz trud nie wszystek minie,
a gdy moc naszą dostrzeżemy
tu – w naszym domu i rodzinie,
dopóki obrus rozścielamy,
choćby i było na nim biednie –
tu dni świąteczne i powszednie
przetrwamy...
(...)

Róbmy swoje. Suplement '95

(...)
Róbmy swoje!
Kładźmy broje pełne wgięć!
Róbmy swoje!
Wróćmy słowom sens i chęć!
Twarz wróćmy słowu- bo bez twarzy
Największe słowo nic nie waży! Rodacy!
Róbmy swoje! Róbmy swoje!
Na tym dziś się skupmy
I z uporem róbmy swoje '95!

Jesteśmy na wczasach

Za oknami noc, w górach śniegu moc okrywa wszystko
czort jedyny wie, co rzuciło mnie w to uzdrowisko.
Na parkiecie szum, wczasowiczów tłum spleciony gęsto,
siedzę tutaj sam, a przed sobą mam orkiestrę męską.
Typ, co szarpie bas wie, że nadszedł czas, gdy w kimś na bańce
czuła struna drgnie i rozpoczną się góralskie tańce.
Jest górala wart taniec, gdy masz fart, gdy dziewczę kwili.
Z basem typ to wie, więc uśmiecha się i już po chwili:

Dla sympatycznej panny Krysi z turnusu trzeciego
od sympatycznego pana Waldka: „pucio-pucio”!

Jesteśmy na wczasach w tych góralskich lasach,
w promieniach słonecznych opalamy się.
Orkiestra przygrywa skocznego bégueine'a,
to nie twoja fina, sze podryfam cię...
(...)

Jeszcze w zielone gramy

(...)
Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy
Jeszcze któregoś rana odbijemy się od ściany
Jeszcze wiosenne deszcze obudzą ruń zieloną
Jeszcze zimowe śmiecie na ogniskach wiosny spłoną
Jeszcze w zielone gramy, jeszcze wzrok nam się pali
Jeszcze się nam pokłonią ci, co palcem wygrażali
My możemy być w kłopotcie, ale na rozpaczy dnie
Jeszcze nie, długo nie
(...)

Jędrzej Daleki –

– pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich

cz. VII

Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny,
Ziemia drży, słysząc, biją stronami pioruny.
[...]

Bitwa! Gdzie? W której stronie? Pytają młodzieńce,
Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
„Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!”

Adam Mickiewicz *Pan Tadeusz*, księga XI Rok 1812

24 czerwca 1812 roku pierwsze oddziały ponad 600-tysięcznej Wielkiej Armii, w której służyło około 100 tysięcy Polaków, przekroczyło Niemcy, rozpoczynając wojnę Francji z Rosją. Jak stwierdzają historycy, była to największa i najważniejsza z kampanii Napoleona. W skład armii oprócz Francuzów i Polaków weszli również Włosi, Austriacy, Prusacy, Belgowie, Szwajcarzy i przedstawiciele innych nacji.

Cesarz Bonaparte zakładał, że już na przedpolach Wilna rozprawi się z głównymi siłami wroga i że zanim nastanie zima wycofa swoje wojska z Rosji na zachód. Ale armia carska uchylała się od decydujących bitew, licząc na zmęczenie przeciwnika i wciągnięcie go w głąb Rosji. Wycofując się, stosowali taktykę spalonej ziemi, która zakładała niszczenie i palenie wszystkiego, co mogło być przydatne wojsku Napoleona.

Nasz dzielny wołyżer, Jędrzej Daleki, już szósty rok był poza domem rodzinnym. Zszedł tysiące kilometrów z wojskiem napoleońskim przez europejskie kraje aż do Portugalii. Brał udział w krwawych, prawie 3-letnich walkach na terenie Hiszpanii, dostał się do niewoli angielskiej i z innymi jeńcami wylądował na wyspie Św. Heleny. W końcu po wielu perypetiach wrócił do Francji, gdzie ponownie został żołnierzem armii francu-

skiej i w kwietniu 1812 r. dołączył do swojego 9 Pułku Piechoty, by wziąć udział w wyprawie Napoleona na Rosję.

Wielką siłą i z dobrą ochotą ruszyliśmy do Rosycji. Każdy z dobrą miną, bo każdy był pewien zwycięstwa. Bitwyśmy się żadnej nie lękali, boć to wszystko prawie był stary żołnierz, co nie z jednego pieca chleb jadł i nie raz dobrze powąchał prochu. Ja z moimi szedłem na Berlin, Szczecin i Królewiec. Z Królewca szliśmy prosto do Litwy.

Przed Wilnem stanęliśmy na wzgórzu, ubraliśmy się jak na paradę i z muzyką weszliśmy do miasta. Tuśmy tylko dzień odpoczęli i zaraz szliśmy dalej aż pod Smoleńsk.

Pod Smoleńskiem dopiero przyszło do wielkiej bitwy. Już zdala natrafialiśmy dużo leżących po polach kaszkietów, pałaszy i różnych rzeczy po zabitych. Zabitych pewno byli zaraz pochowali. Wielu tam Polaków zginęło, mianowicie z czternastego, szesnastego i siedemnastego pułku, które przed nami pod Smoleńsk były przyszły.

Przetrzepaliśmy się tu doskonale i szturmem zdobyliśmy Smoleńsk, a Moskale uciekali na łeb na szyję.

My, cośmy przybyli z Hiszpaniji, nie byliśmy pod polską, lecz zawsze pod francuską komendą, a Francuzi zawsze, gdzie im ciężko szło, nas posyłali. Kiedy przyszło nacierać na nieprzyjaciela, to nas naprzód postavili, a kiedy armija rejterować musiała, to nas w tyle zostawiono, zawsze tam gdzie największe było niebezpieczeństwo. Trzy tygodnie zabawiliśmy w Smoleńsku.

Posunęliśmy się potem o siedem mil za Smoleńsk i pod miasteczkiem Szczesnikami – które jest drewniane, jak prawie wszystkie miasta moskiewskie, które widziałem – zaszła znów bitwa. Po zaciętej walce Moskale zrejterowali, a my dalej za nimi.



Jerzy Kossak Zdobyć Smoleńska

Na płaszczyźnie jakiejś wielkiej przyszło niedługo potem znowu do bitwy, ale tak strasznej, że w życiu okropniejszej nie widziałem, choć przecie w Hiszpaniji codziennie prawieśmy się bili i niejedną wielką bitwę stoczyli. Moskale stali jak mur.

Strzelaliśmy do nich bezustannie całemi kolumnami, a przecie każdy z nas umiał się ze sztucerem obchodzić i pewno napróżno rzadko kiedy strzelił, jednakowoż Moskale ani rusz. Grały armaty nasze, że aż strach, a na holenderską naszą artyleryją mogliśmy śmiało liczyć, że nie chybia. Moskale mimo to stali i nie było widać, żeby jakkolwiek wyłom był zrobiony w ich kolumnach.

Darmo dzieci, mówi komendant nasz Żyro (Giraud), przestańmy się bawić, bo Moskale widać ciągle się luzują i ciągle im nowe przybywają posiłki. Wieczór już nadchodzi, a my z nimi nie skończymy. Pospieszmy się, by dziś skończyć; pokażmy im, żeśmy byli w Hiszpaniji. Dalej na bagnety!

Włosy na głowie stawają, gdy sobie wspomnę owo żganie. Konnica z konnicą rąbała się na przebój, a my równocześnie piechota braliśmy na bagnety jednego Moskala po drugim. Jużemy od hałasu nie słyszeli komendy wcale, jeno każdy się uwijał jak mógł. Jasam oczy zamknąłem, bo mi też już i pot je zalewał, i patrzeć nie mogłem na takie mordowanie się ludzi, a żgałem co mogłem. Krew się lala strumieniami. Niepodobna, jeno Moskale musieli być popici, boćby się przecie nie byli dali tak żywo

zarzynać i mordować. Ruszyliśmy ich wreszcie z miejsca, a wnet zaczęli i na dobre uciekać. Ale tyle trupów, co tam było, nie widziałem nigdy. Po dwóch a czasem i po trzech trupów leżało na kupie. Niektórych ciało popakuliło się już, bo tak konnica jak i armaty po nich nawracały. Jęk rannych, ryk koni przeraźliwy strasznie się słuchał, który tym okropniejszym się wydawał, że to już było po zachodzie słońca.

Nazajutrz po tej bitwie kazano nam woltyżerom pozierać rannych z pobojowiska, a nasi stali obozem pod borem w odległości ośmiu stajni od owego straszego miejsca. Ruszamy na plac boju. Jużemy byli pozierali każdego, co jeszcze był przy życiu, i wracamy do swoich, gdy nagle widzę zabitego jakiegoś jenerała moskiewskiego już stęgniętego między trupami. Leżał w płaszcz obwinięty, tylko złote galony, szlify i pasy było mu trochę widać. Patrzę, ma złoty łańcuszek od zegarka. Jakieś lichy mnie skusiło, żem rozpiął mundur na nim i zajrzałem do kieszeni. Było tam czternaście talarów Maryji Teresy i piękny złoty zegarek. Biorę to wszystko. Chcę wziąć łańcuszek złoty, ale Moskal już sztywny, nie mogę więc zdjąć, a zerwać nie chciałem. Ale miał i szelki łosie ładne. Myślę sobie: Właśnie mi też szelek potrzeba, cóż onemu po tem? Nie wezmę ja, to je weźmie inny, albo w ziemi zgniją, a mnie się bardzo przydadzą. Gdy się więc mocuję, byz niego sćiągnąć owe szelki,



Jerzy Kossak Po przejściu Berezyny

a tu skąd się wzięło to się wzięło dwóch moskiewskich huzarów i pędzi do mnie, co konie wybiedz mogą. O nieszczęśliwe szelki! myślę sobie, pewnie teraz śmierć pojem za nie!

Dopadają do mnie i krzyczą: „Kryczy pardon Lachu! ne udjesz ne udjesz!” to jest: krzycz pardon Polaku, nie ujdiesz nam, nie ujdiesz! Ja chwytam sztucer, i co który do mnie dopada, to ja mierzę, a on odskakuje. Tak uganiam z nimi ciągle co tylko mogę, cofając się ku swoim. Oni strzelają do mnie z karabinków, nacierają na mnie pałaszami, ale kula żadna mnie nie trafia, a pałasz odpieram bagnetem. Już mi siły zaczęły ustawać, pot mi oblał oczy. Byłem pewien, że strzałem moim jednego zabiję, ale wtenczas drugi śmieiej na mnie nacierać będzie wiedząc, że już strzelić nie będę mógł. Krzyczę więc wreszcie na swoich co gardła. Usłyszeli. Przybyło dwóch leżerów (to jest z lekkiej konnicy) naszych mi na pomoc. Ja widząc, że już są blisko, jak palnę ze sztucera, na miejscu jednego zabił. Drugiego zaś chciałem wziąć bagnetem pod biodra i wysadzić z siodła, a tymczasem koń się złąkł i odskoczył trochę na bok. Miasto huzara trafiłem przeto konia w pierś aż się bagnetzgiął. W tym samym czasie huzar jak mnie płątnął w lewą rękę, tak mi zaraz przeciął żyły, i uciął wielki palec u ręki. Zamachnął się powtórnie pałaszem na mnie i byłby mnie pewno prosto przez głowę ciął, ale na szczęście jeden z przybiegłych naszych leżerów

w tym samym momencie dał mu cięciez tyłu i odciął mu rękę w ramieniu.

Tak tedy dla głupich szelek narobiłem sobie niepotrzebnego bigosu i bólu. Złowiłem prawda kilkanaście talarów i zegarek, ale pozbyłem się palca, który pod żadną maścią nie odrósł. Wziąłem w onczas ów palec na skórcę u ręki wiszący, urwałem i rzuciłem na ziemię. Krew mi oblała całą rękę, zżył płynęła jakby lał. Strach mnie było, że mnie krew ubiegnie. Leżery nasze wołają na mnie: „Siadaj wołyżer na konia.” Aleć mnie się na konia wsieść nie chciało. Wołałem się wlec pieszo za nimi, a oni w środku między sobą prowadzili konia owego huzara moskiewskiego przezemnie zabitego.

Przyszliśmy do naszych. Miałem strach, że mnie starsi wylają, albo może i ukarzą za to, że się tak zbałamucił. Ale przecie starsi u ogniska siedzący kazali mnie przywołać do siebie. Idę skłopotany i zbolały, a oni tu już zdala wołają: „Bon voltigeur, bon garson, bravo! bravo! Widzieliśmy twój manewr i podziwialiśmy go, aleśmy nie wiedzieli, kto z kim się tak uciera. Myśleliśmy, że to swój ze swoim tak się bawi”. Śmiali się potem i żartowali ze mnie. Ale mnie się żartów nie chciało. Gdy zobaczyli mą krew, kazali natychmiast doktorowi opatrzyć mi ranę. Zrobił to zaraz. Wtem kapitan nasz chciał wziąć owego konia moskiewskiego, ale generałowie nasi nie dali, mówiąc: „On życie swe hazardował, jemu się koń należy”. Dał mi więc

*kapitan pięć talarów za owego konia. Ale bodaj-
bym ich nigdy nie widział. Byłać to pewno kara
Boża za moje chciwstwo.*

*Opuściwszy ów straszny plac boju ruszyliśmy da-
lej aż blisko Moskwy. Stojąc pod Siannem usłyszeli-
śmy pogłoskę o spaleniu Moskwy – ale nie
powiadano nam, kto ją zapalił.*

Dowodzący wojskami rosyjskim marszałek Ku-
tuzow wycofał je, oddając ćwierćmilionową Mo-
skwę, po wcześniejszej ewakuacji mieszkańców
i wywiezieniu wszelkich zapasów żywności. Na-
poleon słał do cara Aleksandra propozycje hono-
rowego zakończenia wojny, lecz po miesiącu
bezwolnych oczekiwań, zarządził 18 paździer-
nika odwrót Wielkiej Armii. Jej marsz przez bez-
kresne przestrzenie, wśród ostrych mrozów, bez
kwater, w niedostatku żywności i przy nieustan-
nych podjazdach oddziałów kozackich, zmienił
się w koszmar. W chwili opuszczenia Moskwy,
siły napoleońskie liczyły zaledwie 90 tysięcy żoł-
nierzy i 50 tysięcy maruderów.

*Pod Możajskiem okrutnieśmy się znowu nauga-
niali z Moskalami. Niedługo potem wróciliśmy się
na obserwację armiji naszej z tyłu. A tu widzimy,
jak urywki naszych ciągną napowrót. Kirasjery
i dragony – sama ciężka jazda – idą najpierw z pa-
łaszami i tornistrami na ramieniu. Wnet za nimi
żołnierze naszej armiji wleką się jedni bez ładu
i składu, a drudzy na sankach migają się przed
oczami naszymi – mianowicie starsi. Już w Siannie
kazał nam generał nasz Żyro wyganiać z domów
maroderów i kalek z pomarzlými nogami, co nas
nie mało zastanowiło, że to już swój swego ma bić –
ale teraz widząc tyłu powracających nazad, za-
częliśmy się lękać i głośno o tem nawet przed ofice-
rami mówić. Oni nas pocieszali, że to idą po konie
do Litwy i Polski, ale nam się inaczej zdawało.*

*Kozacy też coraz częściej nam się pokazywali
i krzyczeli, ale ledwośmy zaczęli strzelać, umykali,
co żywo. Raz pokazali się nam na zmarzłych ja-
kichś błotach. Uderzyliśmy na nich i byliśmy pew-
ni, że konie ich porozbijają się na lodzie. Ale one
usiadły na zadzie i tak ślizgając się uciekały przed
nami. I najgorsze też to były te kozaczyska, bo to
choć znikąd nie było widać wojska moskiewskiego,
oni się jednak ni stąd ni z owąd wynurzyli i tak nam
nigdy pokoju nie dali.*

Wkrótce i cała armija zaczęła się cofać. Przyszli-

*śmy nad rzekę Berezynę. Tu znaleźliśmy most po-
psuty, a który nasi znów budowali, czempredzej
wiążącze sobą łodzie, a natokładąc najpiękniejsze
jodły i świerki. Nad rzeką były piękne lasy świer-
kowe i śliczna jedlina, jako i błota zamazłe i śnie-
giem grubo pokryte. Rzeka sama z brzegów była
zamarznięta, a środkiem szła gęsta kra. Przez dwa
dni okropnie biliśmy się nad tą rzeką. Raz my Mo-
skali od rzeki odganiaли, bijąc się co nam sił star-
czyło, drugi raz Moskale gnali nas z całą siłą, by
nas wszystkich wrzecz potopić.*

*Co tam zginęło ludzi i koni, to trudno obliczyć.
W rzece koń przy koniu z całemi kulbakami i tłu-
mokami jak tylko okiem można było dojrzeć pły-
wał, a kra o nie uderzała; kostniały z zimna
a wydostać się nie mogły, bo nad brzegiem stał lód,
który się pod ich nogami załamywał. Kwiczały
więc owe biedne bydła tak przeraźliwie, że włosy
na głowie stawały. Ledwo most stanął, wszyscy
chcieli razem się przeprawiać, bo Moskale tuż za
nami bili z armat i z ręcznej broni. Ilu to tam na-
wpadało w rzekę tak piechoty jak i konnicy, to aż
strach wspomnieć, bo wszystko się pchało, żeby jak
najprędzej przejść przez most. Wołano to po pol-
sku, to po francuzku o ratunek, ale nikt tam nie miał
czasu ratować, bo każdy starał się, żeby tylko
z własnem ująć życiem. My broniliśmy mostu, a tak
zacięcie jak nigdy, bo trzeba było koniecznie
Moskali odegnąć od rzeki, gdyż inaczej oni by nas
wrzekę byli wegnali.*

*Drugiego dnia wśród bitwy zostałem ranny, nie
wiem czy od kuli armatniej, czy też kawał ziemi
zmarzłej oderwała kula i mnie nim raniła. Dość, że
była to rana tak straszna na nogę, że mi cała noga
spuchła. Odszedłem więc na bok, sam sobie ją
opatrzyć i obwinąć, boć tam nie było czasu szukać
doktora. Obłożyłem ją lodem z Berezyny rzeki i po
kilkogodzinnym okropnym bólu zrobiło mi się nie-
co lepiej tak, iż chodzić mogłem. Idę więc – a już był
wieczór – do mostu, a tu nasze pontonierzy most
rozbierają. Wołam przeto na innych moich kole-
gów rannych żeby przechodzili co prędzej, a sam,
sztucerem się podpierając, przechodzę rzekę już
tylko po belkach. Żem wtenczas nie wpadł w rzekę,
to łaska Boska.*

Maria KONIECZNA

Litografie: Marian Kukiel Dzieje oręża polskiego
w epoce napoleońskiej, 1912 r.

Zespół

Ludzie, których spotkałem

Miało być jak zwykle, ale w ostatniej chwili pojawił się pomysł...

Zdarza się, że odchodzimy od przyjętych zasad, reguły dopuszczają istnienie wyjątków. Zamiast o jednej osobie pisać dziś o wielu ludziach – o tych, których spotykałem dzień po dniu, rok po roku, z którymi współpracując, przeżywałem dobre i trudne chwile, sukcesy i porażki, radości i smutki. Pisząc ponad rok o historii szkoły-jubilatki, przedstawiając własne impresje, nie mogę o nich wszystkich nie wspomnieć. Nie będzie tu nazwisk. Skoro nie sposób każdego wymienić, lepiej nikogo nie wyróżniać.

Bohaterem tego tekstu jest Zespół.

Praca w szkole jest jak gra w drużynę. Jak na boisku: określone pozycje, różne jednostkowe zadania, wyćwiczone na treningach akcje (ofensywne i defensywne), improwizacje... Przed pierwszym gwizdkiem: założenia taktyczne uwzględniające nie tylko chęci własne czy wymagania „prezesów”. Trzeba pamiętać, że dystansu do bramki nie pokonuje się bez „przeszkód”. Na skuteczność gry może wpłynąć również stan boiska, sędziowie czy zachowania kibiców. Potrzebne więc są umiejętności reagowania, zmian taktyki i tempa gry (gra na czas też się przydaje). Poza tym – unikanie spalonych, granie fair ze świadomością, do której bramki piłkę trzeba posłać. Dużo tego, ale chociaż można by jeszcze kolejne warunki wymieniać, to można podsumować krótko: gra zespołowa! Mnóstwo tych analogii. A przecież znajdziemy je też np. w porównaniach do gry orkiestry. Może będą bardziej adekwatne? Piłkarze walczą z rywalami, muzycy grają tylko „dla”.

No! Dość tych porównań. Pora na konkrety!

Jak sięgam pamięcią, tworzyliśmy w „Dwójce” zespół – nauczyciele, administracja, sprzątaczkę, woźni, dyrekcja. Kolejność dowolna, w drużynie każdy w swojej roli jest ważny i potrzebny. Skład się zmieniał (przychodzimy, odchodzimy...), następowały zmiany pokoleniowe. Ludzie, rzecz oczywista, różniący się nie tylko doświadczeniem. Różne charaktery, usposobienia, temperamenty. Zespół więc nie zawsze do końca zgrany i rozumiejący się (to normalne, nie warto idealizować przeszłości), ale z reguły – drużyna, a nie zbiór indywidualistów. Przemiany organizacyjne szkoły, reformy programowe wpływały na zakres zadań i sposoby pracy. Wspólnie tworzyliśmy programy, plany działania i szkolne prawo, wspólnie sprawdzaliśmy ich przydatność i skuteczność, wspólnie robiliśmy niezbędne korekty. Gorące, często długie zebrania rady pedagogicznej. Emocjonalne dyskusje, żarliwe przedstawianie swoich racji, przekonywanie oponentów – działało się! Była demokracja, spory niejednokrotnie rozstrzygane głosowaniami (tajnymi też). Istotne, żeby wychodzić z akceptowanymi rozwiązaniami. Wiadomo – inaczej pracujemy identyfikując się z zadaniem niż wtedy, gdy nam coś narzucają, gdy nie jesteśmy do tego przekonani. Rzecz jasna, różny był stopień zaangażowania, ale... czas ocen (samooceny też) minął i nie pora teraz na wypominki. Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień – moja ręka pozostaje pusta.

To powyżej zda się normą, niby nic tu nadzwyczajnego. Warto więc poświęcić nieco miejsca na to, co standardem być nie musi. Potrzebna integracja zespołu wymaga wzajemnego poznawania się. Nie wystarczą zebrania ani rozmowy podczas przerw, których tematem z reguły też jest praca.



Świąteczna ulica, rok 2004. Po spektaklu. Fotografia ze zbiorów autora

Wycieczki, nasze (nie tylko nauczycielskie) spotkania poza szkołą. Uroczystości i imprezy szkolne, jubileusze „Dwójki”, rajdy, festyny to kolejne okazje – także do ujawnienia własnych zdolności i umiejętności niekoniecznie związanych z nauczaniem przedmiotem. Dodajmy duże wydarzenia wykraczające poza szkołę, jak Śremsong, międzyszkolne konkursy czy Dni Ziemi. Zawsze zaczynało się od pomysłodawcy, który jako lider gromadził przy sobie ekipę współtwórców wydarzenia. Przy takich okazjach nasz zespół działał w mniejszych grupach, chętni do dodatkowej pracy znajdowali tematy im odpowiadające. A ludziom jeszcze wtedy chciało się chcieć, że hej! Chciało się np. ganiać za piłką w piłkarskich meczach nauczycieli z księżmami, policjantami, radnymi. Chciało się realizować filmy, wydawać szkolne czasopisma, fotografować, filmować, malować, wystawiać, przygotowywać programy dla lokalnej tv...

Aż pewnego razu zachciało się nam być aktorami! Jak bywa, zaczęło się to „z zazdrości”. Uczniowie prezentują różne inscenizacje, my też pokażmy, że potrafimy. Pierwsze przedstawienie nauczycieli dla uczniów (*Świąteczna ulica* w 2004 r.) pocią-

gnęło lawinę. Powtórki dla rodziców i mieszkańców, kolejne coroczne teatralne przedsięwzięcia – aż po rok 2009, gdy aż siedem razy prezentowaliśmy *Sceny z życia Księdza Patrona*, w śremskim Słonku i w Mogilnie. Trudno o lepszą integrację i fajną zabawę. I, co ważne, „aktorzyli” prawie wszyscy, inni nie stojąc z boku, pomagali w organizacji i przygotowaniach.

Efekty zespołowych działań?

Najbardziej znaczącym sukcesem, na który przez rok twórczo pracowali wszyscy, było uzyskanie certyfikatu „Szkoła z klasą”. Na wymienienie innych zabraknie miejsca.

Oczywiście, nie samymi sukcesami szkoła żyje. Były również nieuniknione porażki. A konflikty? Jasne, że były – to był prawdziwy, normalny zespół! Dobrze mi się przydarzyło, że mogłem grać w tym teamie. Było super.

Co na zakończenie? DZIĘKUJĘ Wam wszystkim za wszystko! I każdego członka zespołu, który to przeczytał proszę: Podaj te dzięki dalej!

Leszek MAŃKOWSKI

Trzydzieści i trzy

100 lat przy Szkolnej

11 maja 2016 roku minęło 100 lat od powstania szkoły przy ul. Szkolnej 4 w Śremie. W ciągu wieku przechodziła wiele zmian. Struktura, nazwy, patroni...

Począwszy od stycznia ub.r. przypominałem najważniejsze fakty z historii „Dwójki”. Teraz mogę sobie pozwolić na dawkę subiektywizmu. Przywilej uzasadniony, bo spędziłem w tej szkole lat aż trzydzieści i trzy. To więcej niż połowa mojego dotychczasowego życia. Przez cztery lata uczono mnie w „Dwójce” (absolwent z 1970 r.). Powróciłem w roku 1983 i byłem nauczycielem (2 lata), wicedyrektorem (5,5 roku) i dyrektorem (8,5 roku)

podstawówki oraz dyrektorem gimnazjum (13 lat). Byłem uczestnikiem bądź współtwórcą historycznych dla szkoły wydarzeń. Mam powody do przedstawienia osobistych wspomnień – c.b.d.o.

„Obrazków z wystawy” jest bardzo dużo. Zatrzymuję się tylko przy kilku. Wspomnienia, odniesienia do hic et nunc. Widzę inaczej niż wtedy – z daleka widać więcej.

Budujemy nowy dom

4 czerwca 1989 r. Data, której znaczenie jest dziś niedoceniane, wręcz deprecjonowane, przeważnie przez lubiących burzyć i niszczyć, którym

Ze Stefanem Ratajczakiem i Piotrem Rojkiem. Rajd szkolny, 1990 r.





Pasowanie pierwszych gimnazjalistów, 1999 r.

gorzej wychodzi sensowne budowanie. Początek końca PRL, narodziny III RP – czas wielkich przemian również w oświacie. 1 września rozpoczęliśmy proces reformowania, wprowadzając nie tylko nowe, urzędowe programy i plany nauczania. Korzystając z danej szkole autonomii, jako pierwsi w Śremie wprowadziliśmy np. 6-stopniową skalę ocen.

Problemem był fakt, że „Dwójka” nosiła imię Bohaterów Armii Radzieckiej. Teraz – gdy odgórnie, błyskawicznie, bezdyskusyjnie różne „de-” się uchwała – może dziwić, że wtedy zmiana tego stanu nie była prosta. Decyzję podejmowaliśmy sami, z rozwagą analizując, co dalej? Trochę potrwało. W styczniu 1990 r. pożegnaliśmy się z tamtymi „patronami”. Nie wszystkim przypadło to do gustu, byli obrońcy „armii-wyzwolicielki”. Pamiętam, że było to nawet fizycznie trudne zadanie – tablica pamiątkowa trzymała się muru niesamowicie mocno! A nowy Patron? Pojawił się w następnym roku, po namyśle, w wyniku demokratycznie podjętej decyzji. Cóż, nie stawialiśmy na rewolucyjny styl. Ewolucja trwa dłużej, ale daje pewniejsze, długotrwałe rezultaty. Wymaga doskonalenia, więc to robiliśmy.

Rok 1999. Nowy etap. Gimnazjum. Czasu na przygotowania wystarczyło. Od 15 kwietnia uwolniony od innych obowiązków, miałem już „tylko jeden” – zorganizowanie wszystkiego tak, żeby 1 września 1999 r. gimnazjum zaczęło działać. Pierwsze zadanie: zbudowanie zespołu nauczycielskiego. Proces, zgodnie z planem, rozłożony na trzy lata. Wraz z wchodzeniem kolejnych roczników uczniów dołączali nauczyciele. Bardzo ważne było stworzenie prawdziwego zespołu współpracujących ze sobą ludzi, którzy przyszedli z różnych szkół. Stąd – po pierwsze integracja wokół określonego celu! Wspólne szukanie własnych rozwiązań, identyfikacja ze szkołą. Nowe programy nauczania i wychowania: dobór metod i form. Kreatywność. Innowacyjność. Uwzględnienie (po rozpoznaniu) możliwości uczniów, specyfiki środowiskowej. Unikanie zbytniego eksperymentowania na żywym organizmie. Znowu – tworzenie, wdrażanie, ewaluowanie, doskonalenie, poszerzanie, pogłębianie, korygowanie, utrwalanie... itd. itp.

Oczywiście to budowanie miało też ciągle sens materialny. Od początku lat 90., po okresie zastój, stopniowo poprawialiśmy stan budynków, wyposażenie w sprzęt i pomoce. Przyspieszenie



Uruchomienie zegara, 2002r.

nastąpiło od 1996 r., gdy organem prowadzącym (finansującym) została gmina. Szczegółowo pisałem o tym w poprzednich tekstach.

Wespół w zespół

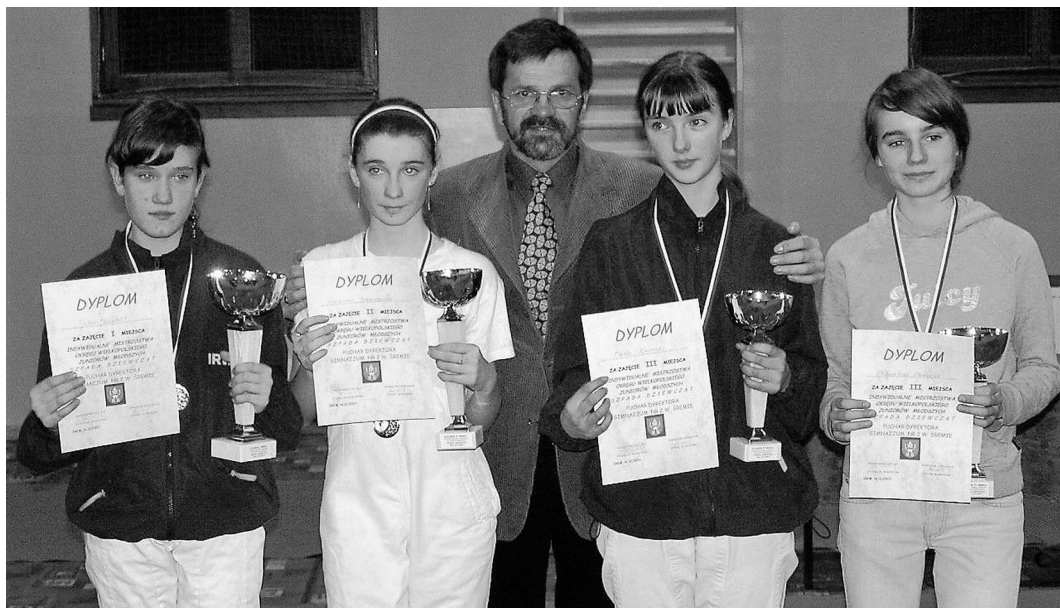
Nie przypadkowo używam w tym tekście liczby mnogiej. Praca w szkole jest grą zespołową. Nasuwają się porównania sportowe, muzyczne. Członek zespołu (orkiestry, chóru) wykonuje swoją partię na swojej pozycji. Podstawą powodzenia jest harmonia, gra do tej samej bramki. Był w „Dwójce” taki szkolny zespół! Ale, ale – to temat, któremu należy poświęcić więcej niż kilka zdań. I to „więcej” znajdzie się w innym miejscu.

Tożsamość i pamięć

Sposobem zachowania specyfiki tej szkoły jest odwoływanie się do jej bogatej, obrosłej we własne tradycje historii. Uczą się tu kolejne pokolenia. Rozmowa (jeśli jest) w domu o szkole będzie ciekawsza, gdy rodzice (i dziadkowie) mogą się dzielić z potomstwem swoimi doświadczeniami z tego samego miejsca, gdy (zdarza się) uczyli ich ci sami nauczyciele. Uczący też przeżywają ciekawe sytuacje. Miałem szczególne odczucia, gdy rozpoczynając pracę spotykałem w nauczycielskim

pokoju tych, którzy mnie uczyli. Z czasem sytuacja się odwróciła – zatrudniałem jako nauczycielki kilka moich uczennic. A nawet stałem się takim „szkolnym dziadkiem”, bo nauczycielką w „Dwójce” została uczennica mojej uczennicy... W takich klimatach, w starych murach, gdzie – przy wszystkich modernizacjach – czuje się historię, nie sposób o przeszłości zapomnieć. Potwierdzają to absolwenci, organizujący swoje zjazdy. Mówiąc, jak szkoła się zmieniła, jednocześnie bez kłopotów odnajdują swoje sale lekcyjne.

Dobłą okazją utrwalania szkolnej tożsamości i przypominania przeszłości są jubileusze. Zaczęliśmy takie świętowanie w 1991 r. (75-lecie), a potem co 5 lat były obchody kolejnych -leci „Dwójki”. Obok bardzo oficjalnych uroczystości organizowaliśmy wiele imprez w szkole i mieście. Towarzyszyły temu spotkania z udziałem byłych nauczycieli czy absolwentów. Były też okolicznościowe wydawnictwa. Bywało też bardziej duchowo: msze św. w Farze. A czasem, żeby było głośniejsze i widoczniejsze, zawzięcie maszerowaliśmy za orkiestrą przez miasto. I tak doszliśmy z moim udziałem do 95. urodzin. A 100-lecie? Obchodzono je w październiku ubiegłego roku. Byłem... pierwszy raz w roli widza.



Turniej szermierczy o Puchar Dyrektora, 2007 r.

Jubileusze nie raz łączyły się z innymi ważnymi wydarzeniami. Najbardziej znaczącym wśród nich było w 1991 r. nadanie szkole podstawowej imienia ks. Piotra Wawrzyniaka. Czy i w jaki sposób Patron był związany ze szkołą, która przecież powstała po jego śmierci? Jednak! – w CV Księdza znajdziemy zapisy o jego staraniach, by szkoła dla polskich dzieci powstała w Śremie. Co więcej, doczekał się ks. Wawrzyniak decyzji pruskich władz o wybudowaniu szkoły – tej, naszej, której patronuje. Sztandar jednoczy szkolną społeczność. Otrzymaliśmy go 14 czerwca 2003 r. podczas obchodów 750-lecia Śremu. Jedyna w swym rodzaju uroczystość miała niezwykłą oprawę. Ceremonialne wprowadzenie, poświęcenie i przekazanie odbyło się na Rynku, przed Ratuszem. I tyle słońca, i tylu ludzi, i Hejnał Śremu grany na trzy trąbki, i oczywiście maszerowanie ze szkoły po sztandar i ze sztandarem do szkoły.

Zachowaliśmy historyczne, opisywane już wcześniej szkolne tradycje. Powstały nowe, np. Święto Szkoły przypadające 14 czerwca, w rocznicę nadania imienia. Zachowujemy pamięć o naszych poprzednikach. Niektórzy wiedzą np., że słowo emeryt znaczyło „zasłużony”, ale to było dawno, dawno temu...

Przyjdzie walec i wyrówna

Rok temu napisałem: *Można pokusić się o stwierdzenie, że najbardziej stałym elementem historii szkoły były (...czy jeszcze będą?) zmiany.*

Były reformy organizacyjne i programowe. Zmiany rewolucyjne i ewolucyjne. Bardziej i mniej mądre. Lepiej lub gorzej, ale – bez pośpiechu przygotowywane i wprowadzane. Co będzie? Historia uczy (?), że po reformacji nastąpiła kontrreformacja (z inkwizycją!), a po rewolucjach – kontrrewolucje...

Dzisiaj: walec ruszył. Z finezją walcom właściwą.

Zwiastun

W następnym odcinku in.: O zwycięstwie Armii Czerwonej nad niemieckimi antyfaszystami (!). O „światowym życiu”. O tym, co łączy Mikołaja Kopernika z Piotrem Wawrzyniakiem, Fryderyka Chopina z orkiestrą dętą oraz Romana Polańskiego z naszym gimnazjum. Zostańcie Państwo z nami!

Leszek MAŃKOWSKI

Foto: ze zbiorów szkolnych



Wieści z ratusza

PUSZKObranie

W dniu 24 lutego br. w śremskim ratuszu odbyło się uroczyste podsumowanie Gminnego Konkursu Ekologicznego PUSZKObranie.

Do udziału w XVI edycji PUSZKObrania zgłosiło się 20 placówek oświatowych z terenu gminy Śrem, łącznie – 4227 osób. Zgromadzono 1347,9 kg puszek, co daje średnio 0,32 kg złomu na osobę. Pierwsze miejsce wywalczyli ubiegłoroczni zwycięzcy – przedszkolaki z Niepublicznego Przedszkola „Leśna Polanka” w Mechlinie (3,62 kg puszek/osobę), II miejsce przypadło Środowiskowemu Domowi Samopomocy w Śremie (3,20 kg puszek/osobę), natomiast III miejsce zajęły dzieci z Przedszkola nr 2 „Słoneczna Gromada” (2,17 kg puszek/osobę).

Ufundowano nagrody w postaci okolicznościowych czeków na zakupy lub usługę:

- 1000 zł dla zwycięzcy,
- 800 zł za zajęcie II miejsca,
- 600 zł za zajęcie III miejsca.

Wyróżniono jedną placówkę oświatową, która znalazła się blisko podium, przekraczając próg 1 kg złomu/osobę, a mianowicie Przedszkole nr 7 „Janka Wędrownicza” (2 kg puszek/osobę). W nagrodę przyznano placówce okolicznościowy czek na zakupy lub usługę o wartości 400 zł. Dla placówek czynnie biorących udział w konkursie przewidziano upominki w postaci zakładki z linijką oraz dyplomy pamiątkowe.

Zastępca burmistrza Śremu Bartosz Żeleźny podziękował Panu Markowi Cieślakowi z Przedsiębiorstwa Usługowo-Handlowego EKO-PARTNER za wieloletnią współpracę w zakresie odbioru złomu aluminiowego. Każdego miesiąca firma przekazuje do naszego Urzędu zestawienie z ilością puszek przekazanych przez placówki oświatowe. Wpływy z tytułu sprzedaży puszek przekazywane są placówkom oświatowym.

Zwycięzcy PUSZKObrania w ratuszu





Laureaci, organizatorzy i jurorzy konkursu Wielcy Wielkopolanie

KAMIZELKI ODBŁASKOWE DLA SENIORÓW

21 lutego br. odbyło się spotkanie emerytów zrzeszonych wokół Klubu Relax. Rada Programowa Bezpieczne Miasto przekazała Klubowi Relax kamizelki odblaskowe, z których seniorzy będą mogli korzystać podczas wycieczek rowerowych, marszów nordic walking czy spacerów poza miasto. Kamizelki w imieniu Rady Programowej Bezpieczne Miasto przekazał Przewodniczący Rady – zastępca burmistrza Śremu Bartosz Żeleźny.

KRAJOWA MAPA ZAGROŻEŃ BEZPIECZEŃSTWA – ZGŁOSZENIA DO POLICJI PRZEZ INTERNET

Od września 2016 r. funkcjonuje Krajowa Mapa Zagrożeń Bezpieczeństwa dla województwa wielkopolskiego. Za jej pośrednictwem mieszkańcy mogą anonimowo przekazywać informacje o niepokojących zjawiskach z zakresu bezpieczeństwa.

W okresie od 20 września do 31 grudnia 2016 r. Komenda Powiatowa Policji w Śremie otrzymała

282 zgłoszenia poprzez mapę. Informacje dotyczyły głównie nieprawidłowego parkowania i przekroczenia prędkości na drodze. Policjanci ze śremskiej komendy zachęcają do kontaktu za pośrednictwem Krajowej Mapy Zagrożeń Bezpieczeństwa. Wszystkie zgłoszone przez internautów sygnały są sprawdzane.

Uwaga: potrzebę pilnej interwencji policji zgłasza się poprzez numery alarmowe telefonów: 997 i 112 (nie poprzez mapę). W przypadku pytań lub uwag do funkcjonalności Krajowej Mapy Zagrożeń Bezpieczeństwa policja prosi o kontakt za pośrednictwem poczty elektronicznej na adres kmzb@policja.gov.pl.

KONKURS SŁAWNI WIELKOPOLANIE

Dnia 23 lutego br. w Szkole Podstawowej im. gen. Dezyderego Chłapowskiego w Bodziewie odbył się VIII Powiatowy Konkurs Historyczno-Plastyczny Sławni Wielkopolanie pod patronatem Burmistrza Śremu. W konkursie wzięło udział 25 uczniów z siedmiu szkół powiatu śremskiego.

Uczestnicy konkursu w części teoretycznej przy-

blizali postać pisarki Marii Dąbrowskiej oraz fragmenty opowiadania *Marcin Kozera* w oparciu o samodzielnie przygotowaną prezentację multimedialną. W swojej pracy musieli odnieść się do okoliczności historycznych. W części plastycznej uczniowie wykonywali pracę plastyczną do wiersza Adama Asnyka *Powrót do domu*.

Zwycięzcy części teoretycznej:

I miejsce: Aylin Berber – Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dąbrowie,
II miejsce – Aleksandra Miniewicz – Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dąbrowie,
III miejsce – Adam Lewandowski – Szkoła Podstawowa nr 1 w Śremie im. Mikołaja Kopernika.

Zwycięzcy części plastycznej:

I miejsce – Julia Krawczyk – Szkoła Podstawowa

im. gen. Dezyderego Chłapowskiego w Bodzyniewie,

II miejsce – Marcelina Kasprzyk – Szkoła Podstawowa nr 1 w Śremie im. Mikołaja Kopernika,

III miejsce – Michalina Przybysz – Szkoła Podstawowa im. gen. Dezyderego Chłapowskiego w Iłowcu.

Burmistrz Śremu Adam Lewandowski pogratulował uczestnikom konkursu oraz wręczył nagrody. Konkurs sfinansowała gmina Śrem.

SENIOR W RUCHU

Urząd Miejski w Śremie oraz Śremski Sport sp. z o.o. zapraszają na bezpłatne zajęcia SENIOR W RUCHU – fitness oraz bowling dla osób 50+. Zajęcia odbywają się od 1 lutego do 28 lipca 2017 r. od poniedziałku do piątku godz. 9:00 (wzmocnienie, body ball, ABT, aerobik, bowling).

REFORMA OŚWIATY W GMINIE ŚREM – PODSTAWOWE ZMIANY

Gmina Śrem podejmuje działania dostosowujące do zmian w oświacie, o których zdecydował Sejm RP, czyli likwidacji gimnazjów i wprowadzenia ośmioletnich szkół podstawowych. Przedstawiamy Państwu najważniejsze informacje w pigułce:

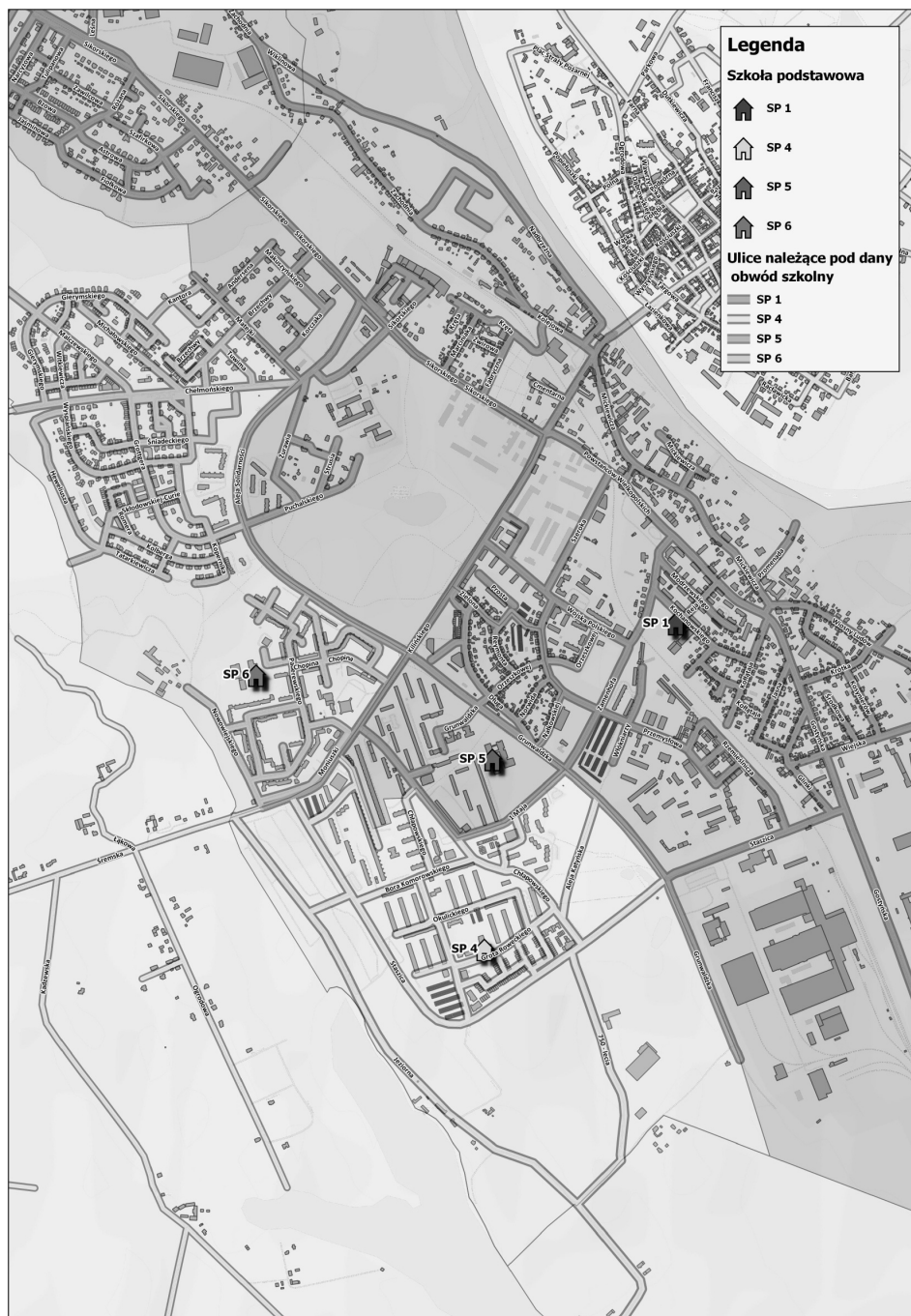
Aktualna sieć szkół prowadzonych przez gminę Śrem:

1. Szkoła Podstawowa nr 1 im. Mikołaja Kopernika w Śremie,
2. Szkoła Podstawowa nr 4 im. Marii Konopnickiej w Śremie,
3. Szkoła Podstawowa nr 6 im. Braci Barskich w Śremie,
4. Szkoła Podstawowa im. gen. Dezyderego Chłapowskiego w Bodzyniewie,
5. Szkoła Podstawowa im. Władysława Reymonta w Krzyżanowie,
6. Szkoła Podstawowa im. Powstańców Wielkopolskich w Pyszczej,
7. Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dąbrowie,
8. Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum im. hrabiego Władysława Zamoyskiego w Nochowie,
9. Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Zbrudzewie,
10. Gimnazjum nr 1 im. Polskich Noblistów w Śremie,
11. Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Śremie.

Zmiany w gminie Śrem od 1 września 2017 r.

1. Sześciolatekne szkoły podstawowe stają się ośmioletnimi szkołami podstawowymi.
2. Zespoły szkół podstawowych i gimnazjów stają się ośmioletnimi szkołami podstawowymi.
3. Gimnazjum nr 1 im. Polskich Noblistów w Śremie zostanie przekształcone w Szkołę Podstawową nr 5 w Śremie. Przez dwa lata w budynku Szkoły Podstawowej nr 5 w Śremie będą funkcjonowały oddziały dotychczasowego gimnazjum, aż do jego całkowitego wygaszenia, które nastąpi z dniem 31 sierpnia 2019 r. W roku szkolnym 2017/2018 w budynku Szkoły Podstawowej nr 5 w Śremie będą funkcjonowały drugie i trzecie klasy gimnazjum, a w roku kolejnym już tylko trzecie klasy. Od 1 września 2019 r. będzie to wyłącznie ośmioletnia szkoła podstawowa.
4. Wszystkie szkoły podstawowe prowadzone przez gminę Śrem docelowo staną się szkołami o pełnej strukturze organizacyjnej funkcjonującymi w jednym budynku.
5. Powstaną nowe obwody Szkoły Podstawowej nr 4 w Śremie, Szkoły Podstawowej nr 6 w Śremie i Szkoły Podstawowej nr 5 w Śremie. Obwody pozostałych szkół pozostają bez zmian.
6. Sześciolatekne szkoły podstawowe prowadzone przez inne organy staną się ośmioletnimi szkołami podstawowymi.

NOWE OBWODY SZKOLNE W ŚREMIE



Najważniejsza była ulica Farna

Śremskie fyrtle

Cykl opowiadań o fyrtlach Śremu, cieszy się wśród Czytelników dużą sympatią. Wiele z nas odnajduje siebie na danej ulicy, czy w określonym miejscu. Wracają wtedy sentymenty. Chciałam więc dzisiaj przedstawić wspomnienia mojego kolegi z czasów liceum, który swoje dzieciństwo

Mały Andrzejek w kapciach i ekstra ubranku



spędził na ulicy Farnej. Jest nim Andrzej Taciak, regionalista, rysownik, autor wielu pocztówek i kartek świątecznych związanych ze Śremem.

Urszula Ciesielska: Przedstaw nam swoją ulicę i jej specyficzne cechy.

Andrzej Taciak: Mieszkiałem w małym, piętrowym domku przy ulicy Farnej. Była to krótka ulica, biegnąca od rynku do kościoła farnego. Stały na niej szare, „ośrupane” domy oraz szpital powiatowy, do którego przylegała kaplica pogrzebowa, zwana wtedy kostnicą. Ulica początkowo wybrukowana była „kocimi łbami”, później została pokryta dywanikiem asfaltowym.

U.C.: Duże miałeś mieszkanie?

A.T.: Mieszkiałem na pierwszym piętrze. Od ulicy wchodziło się schodami do pokoju, a z kuchni schodziło się na podwórze. Dwa stopnie, którymi wchodziło się do budynku z ulicy, były naszym miejscem obserwacyjnym. Siadaliśmy na nich w dwóch rzędach i w takim układzie nic ważnego nie mogło ujść naszej uwadze.

U.C.: Największym „skarbem” dzieciaków mieszkających w różnych domach były podwórka. Czy ty też bawiłeś się na podwórku?

A.T.: Tak. Pamiętam podwórko z drewnianymi „wygódkami” i wiecznie śmierdzącymi śmietnikami. Stanowiło ono centrum naszego dziecięcego życia, a bawiło się na nim trzynaścioro dzieciaków w różnym wieku. W jednym z pomieszczeń gospodarczych znajdowała się olejownia, w której tłoczono na ciepło olej z ziaren lnu. Pamiętam, że zimą podwórko zastawione było wozami konnymi, którymi gospodarze przywozili ziarno lniane, które po przeróbce odbierali jako olej i wytłoczyny. Latem nasze mamy wie-



Budynek wikariatu przy ul. Farnej – oddział Szpitala Powiatowego w Śremie. Fotografia ze zbiorów Muzeum Śremskiego

szwały na podwórku pranie. Poprzedniego dnia zakładane były sznury, które po rozwieszeniu nanych prania, podpierano rozdwojonymi na końcu tyczkami. Pod wieczór, po pracowitym dniu, dorośli wynosili na podwórkę „ryczki” lub „stołki” i siadając, wspominali głównie czasy minionej wojny. Mój dziadek Franciszek, który mieszkał wraz z babcią na naszym podwórku, często spierał się ze swoim bratem o różne epizody z czasów wojny. Nieraz kłócili się po niemiecku ku uciechu zebranych sąsiadów.

U.C.: Olejarnia, rozwieszane pranie nie sprzyjały raczej zabawom na podwórku. Gdzie się zatem bawiliście?

A.T.: Najważniejsza była ulica Farna, która była dla nas miejscem niezliczonych i nieraz przedziwnych zabaw. Dziewczynki grały w klasy narysowane na chodniku, później przyszła moda na hula-hop (kręcenie na biodrach kołem zrobionym z wikliny). Chłopcy przeważnie grali w helskę, palanta lub w piłkę, popychanie obręczy od kół rowerowych zakrzywionymi hakami oraz tzw. cymbergaja – posuwanie drobnych monet grzebieniem. Jeździliśmy hulajnogami zrobionymi

z desek, a poruszającymi się na skombinowanych przez ojców łożyskach tocznych. Można sobie wyobrazić hałas, jaki robił ten pojazd, poruszając się po chodniku. Często byliśmy przeganiani przez pracowników szpitala, ponieważ przeszkadzało to chorym. Przed szpitalem zawsze działo się coś ciekawego. A to kogoś przywiozło pogotowie, a to karetka wyjeżdżała na sygnale, a my zaraz biegliśmy zobaczyć, co się dzieje. Co którąś niedzielę odbywały się w śremskim parku wyścigi żużlowe. Bywało, że przywożono poturbowanych zawodników. Bardzo im współczuliśmy, bo byli to nasi bohaterowie. Gdy byłem starszy, chodziłem z ojcem na wyścigi do parku i była to dla mnie ogromna atrakcja.

U.C.: Czy były jakieś sytuacje, które was niepokoiły lub wręcz przerażały?

A.T.: Nieraz z przerażeniem nasłuchiwalismy dobiegających z pierwszego piętra szpitala krzyków kobiet. Nie wiedzieliśmy, co tam się dzieje. Dopiero gdy byłem trochę starszy, dowiedziałem się że są to odgłosy kobiet będących na porodówce. Przy szpitalu znajdowała się kaplica pogrzebowa, zwana kostnicą. Pogrzeby, które z niej wyruszały,



Ulica Farna obecnie. Foto: autorka, 2016

napawały nas jakimś swoistym lękiem. Pod kaplicę zajeżdżał w dniu pogrzebu karawan zaprzężony w dwójkę ciemnej maści koni. Na karawan ustawiano trumnę, a następnie formował się kondukt żałobny. W zależności od miejsca pochówku, kondukt przemieszczał się albo na cmentarz przy kościele farnym lub też wędrował przez całe miasto na cmentarz parafialny. Od czasu do czasu, zwłaszcza latem, „stawiał nas na nogi” przejmujący odgłos wyjącej syreny strażackiej. Zostawialiśmy wszelkie zabawy i pędem biegliśmy na rynek, gdzie w podwórku ratusza mieściła się siedziba straży pożarnej. Z podziwem patrzyliśmy na zbierających się strażaków, na podjeżdżający samochód, na włączoną syrenę, po czym biegliśmy kawałek za czerwonym samochodem. Oczywiście każdy z nas chciał być wtedy dzielnym strażakiem.

U.C.: Czy chodziłeś do przedszkola?

A.T.: Tak. Jak większość dzieci z mojej ulicy cho-

dziłem do przedszkola na ulicy Dutkiewicza, na tzw. Pólko, które prowadziły siostry Elżbietanki. Raz do roku jeździłem na kolonie, które były organizowane przez zakład pracy ojca. Mama pakowała w tekturową walizkę moje skromne ciuszki i wkładała do niej kartkę z moimi danymi i wykazem odzieży.

U.C.: Czy pamiętasz jeszcze jakieś wydarzenia związane ze swoją ulicą?

A.T.: Co jakąś sobotę lub niedzielę miało miejsce ważne dla nas wydarzenie. W kościele farnym odbywały się śluby. Przygotowywaliśmy się do nich, rozwieszając przed bramą wejściową sznurek ozdobiony kolorowymi szmatkami i zatrzymywaliśmy w ten sposób samochód z młodą parą i gośćmi weselnymi. Po otrzymaniu „okupu”, przepuszczaliśmy samochód. Później biegliśmy do sklepiku i kupowaliśmy landrynki.

Ważnym wydarzeniem w życiu ulicy było święto

Bożego Ciała. Uroczysta procesja rozpoczynała się właśnie od kościoła farnego i ulicą Farną kierowała się na rynek. Ulica, jak i okna domów, przystrajane były na tę okoliczność „koronami” z liści dębowych. Dwa dni przed procesją jechałem z moim ojcem rowerem na zalesiony teren nad Wartą, tam rwałiliśmy liście, pakując je do worków. Nieraz wracaliśmy późnym wieczorem. Na drugi dzień od samego rana, wszystkie sąsiadki plotły „korony”, okręcając wiązkami liści sznury do prania. Potem przystrajano takimi sznurami ulicę w poprzek i wszystkie okna. W czasie wielkiego postu biegaliśmy wokół kościoła i po ulicy z „klekotkami”. Były to drewniane kołatki zrobione przez ojców, które zgodnie z liturgią kościoła zastępowały dzwony. Tradycyjnie w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, po wspólnym obiedzie, wybieraliśmy się całą rodziną do Zbrudzewa, gdzie odbywały się ludowe obrzędy tzw. niedźwiedzie. Po wsi chodzili przebierańcy, którzy murzyli sadzami i polewali wodą. Było przy tym dużo śmiechu.

U.C.: Większość Twoich wspomnień wiąże się z kościołem farnym. Czy pamiętasz jeszcze jakieś dostojne uroczystości?

A.T.: Pamiętam coroczne pielgrzymki do sanktuarium Maryjnego w Borku. Pierwszego dnia lipca bardzo wczesnym rankiem po mszy św. sprzed kościoła ruszała bardzo liczna grupa pielgrzymów. Następnego dnia wieczorem wracali. Niektórzy mieszkańcy Śremu wychodzili im naprzeciw aż pod tzw. Kłasztorek. Wracali razem z pielgrzymami, niosąc zapalone lampiony. Na mojej ulicy gromadziły się już tłumy witających. Obserwowałem to wszystko przez okno, z mocnym postanowieniem, że jak będę starszy, to też wybiorę się na taką pielgrzymkę. No niestety, tylko raz udało mi się zmobilizować. Bardzo wielkim wydarzeniem dla małego wówczas Śremu były odwiedziny biskupa w parafii. Byłem wtedy małym chłopcem i utkwiła mi w pamięci jedna scena. Wzdłuż całej ulicy Farnej ustawiony szpaler ludzi, a środkiem jezdni w bryczce jechał biskup. Co ciekawe, bryczki nie ciągnęły konie, tylko kilku młodzieniaszków. Ludzie wiwatowali, klaskali, w ten sposób witając dostojnego gościa. Widziałem wszystko dokładnie z okna na pierwszym piętrze. Biskup przyjeżdżał z Poznania samochodem, a na bryczkę przesiadał się gdzieś na ulicy Poznańskiej.

U.C.: Czy wychodziliście poza waszą ulicę na bardziej atrakcyjne zabawy?

A.T.: Zimą chodziliśmy na sanki i łyżwy „na pierwszy most” (starsi śremianie pamiętają, że był to stawek znajdujący się przed parkiem im. Powstańców Wielkopolskich – przypis autorki). Po zasypaniu tego stawku chodziliśmy na „drugi most” (stawy znajdujące się po obu stronach szosy w kierunku Poznania, przed kanałem ulgi). Na rozlewiskach, tzw. gindówach, ślizgaliśmy się i jeździliśmy na łyżwach. Niejeden raz zdarzało się, że niezbyt mocny lód załamywał się i wpadaliśmy po kostki, a czasami po kolana do wody. Wtedy powrót do domu był bardzo nieprzyjemny.

U.C.: Czy teraz, po latach, odwiedzasz swój fyrtel i co wtedy czujesz?

A.T.: Obecnie mieszkam na Jezioranach, ale będąc w starej części miasta, odwiedzam mój fyrtel. Niewiele się tu zmieniło. No, może kilka domków wypiękniało. Zawsze, będąc tu, wracam wspomnieniami do cudownych, choć ubogich, lat dzieciństwa.

Urszula CIESIELSKA

„Kto czyta książki, żyje podwójnie”.
Umberto Eco

Jednym z wielu zadań realizowanych przez bibliotekę szkolną jest przygotowanie uczniów do świadomego korzystania z jej zbiorów poprzez kształtowanie i rozwijanie nawyku czytania oraz zainteresowań czytelniczych uczniów. Biorąc pod uwagę fakt, że połowa dorosłych Polaków nie czyta książek, a czytelnictwo dzieci przegrywa z mediami – telewizją, komputerem, Internetem, celowe staje się podejmowanie przez szkołę działań, które uświadomią dzieciom rolę książki w ich życiu oraz wspomogą ich wszechstronny rozwój. Mając na uwadze wspomniane problemy i szukając alternatywnych rozwiązań, zainicjowałam zajęcia czytelnicze w grupie uczniów z klas gimnazjalnych i utworzyłam Klub Miłośników Książki.

Dzięki swoim wartościom uniwersalnym, książka nadal może odgrywać ogromną rolę w kształtowaniu osobowości dziecka. Wzbogaca wiedzę młodego czytelnika o otaczającym go świecie, wpływa na rozwój jego zainteresowań i, co najważniejsze, pozwala silnie przeżywać treść czytanego tekstu oraz poddawać się jego wpływowi wychowawczemu. Umożliwia przekazywanie istniejącego zasobu wiedzy o rzeczywistości oraz kształtowanie określonych postaw. Dodatkowo kontakt z książką dostarcza wzorców prawidłowego pisania i mówienia. Pozwala poznawać nowe słownictwo i utrwała właściwe formy gramatyczne. Sięgając po książkę, młody człowiek staje się bogatszy, zarówno w sferze emocjonalnej, jak i poznawczej. Poprzez utwory literackie uczy się odróżniać prawdę od fałszu, dobro od zła, poszukuje prawd moralnych, ma kontakt z pięknem i kształtuje potrzebę obcowania z nim. Książka pomaga zrozumieć świat, dostrzegać i cenić ważne wartości: prawdę, wiedzę, patriotyzm, godność, poszanowanie pracy, szacunek dla drugiego

człowieka, przyjaźń. Pomaga kształtować pozytywne cechy charakteru: uczciwość, odpowiedzialność, uczynność, opiekuńczość, wrażliwość, wierność, tolerancję i inne. Dzięki książce poznajemy piękno ojczystego kraju, historię, kulturę, tradycję, życie innych ludzi, rozwija ona uczucia patriotyczne, wrażliwość estetyczną, wyobraźnię, samodzielne myślenie, pomysłowość. Pobudza do podjęcia twórczej działalności.

Nieustannie namawiajmy do czytania, rozwijania samych siebie i stwarzania przestrzeni, jakich sami byśmy nie wymyślili. Jak nasza uczenica Julia Kubiszewska, która zdobyła III miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Piórem Malowane 2016. Z radością dzieje się jej wierszami.

Ilona PRUCHNIK
ZSPiG im. Jana Pawła II w Dąbrowie

DYPLOM



Organizator: Młodzieżowy Dom Kultury w Krakowie przy ulicy Grunwaldzkiej 5

Julia Kubiszewska

* * *

Tak
Po prostu tak, bo tak już jest i ja tak chcę.
Wolności smak, wolności zew porywa mnie.
Ty widzisz, jak rozpadam się, jak leż się boję.
Ty trzymasz mnie, gdy nad przepaścią stoję.
Nie.
Przemocy dość, krytyki też już mam za wiele.
Na co mi są fałszywi przyjaciele?
Tych wszystkich ludzi wokół mam tak strasznie dość.
Przyjaciół też potrafi czasem dać nam w kość.
Chcesz mnie sprawdzić? Tak, nie, zadać mi pytanie?
We mnie wątpisz? Czy nie ja spełniam każde twoje żądanie?
Tak, nie – ta odpowiedź głupia wciąż mnie śledzi.
Tak, nie – w głupim świecie nie ma mądrych odpowiedzi.

* * *

Nie lubi sukienek, a ciągle w nich chodzi.
Herbatę gorzką lubi, choć często ją słodzi.
Tak kocha muzykę, choć wcale nie słucha.
I kocha rozmowy, lecz słuchawka głucha.
Ratuje innych, choć siebie nie może.
Nie lubi natury, a siedzi na dworze.
Ma długie włosy, a ciągle je ścina.
Miała siedzieć cicho, a znowu przeklina.
I choć miała być silna, to po nocach szlocha,
A ja nie wiem co myśleć, kiedy mówi, że mnie kocha.

Julia Kubiszewska

* * *

Siedziały tam, na wschodniej bramie, a bramy były trzy.
Siedziały dumnie, nieruchomo, te dwa kamienne lwy.
Królestwo to tworzyły mury, wokoło łąki biegły,
Na dole kwiaty, na górze chmury, lwy wschodniej bramy strzegły.
Opowieść przecież każdy zna, bo jest powszechnie znana –
Że właśnie dwa kamienne lwy wybiorą swego pana.
Królów przybyło do wrót stu, ale od wschodniej strony,
Nie przyszedł i nie przeszedł nikt, by sięgnąć do korony.
Pewnego razu słońca blask oświecił jasną twarz –
Pastuszka bosa w bramie stała, a za nią świecił las.
Powietrze rozdarł głośny krzyk i ostrzeżenie tłumu,
Wieśniaczce głupiej ludzie chcą przemówić do rozumu.
Dziewczyna błaga, mówi im, że przecież dobra była,
Nie chce by nic żywota jej przed bramą się skończyła.
Jednak pieśń było słychać z miejsca, gdzie lwy spoczęły dwa –
„A do korony wszelkie prawo tylko pastuszka ma”.
Młodzieniec biedny z tłumu wybiegł, oddając Lily cześć,
Bo tak się zwała ta pastuszka i tak się kończy pieśń:
Królów przybyło do wrót stu, ale od wschodniej strony,
Nie przyszedł i nie przeszedł nikt, by sięgnąć do korony.
Dla pięknej Lily, pastuszki niegdyś,
O włosach barwy lata, stróżują dwa kamienne lwy,
By strzec ją przed złem świata.
Królowa mądra i sprawiedliwa - taka Lilyana jest,
I właśnie tak ją opisując, kończymy śpiewać pieśń.
Kto mieczem walczy od miecza ginie,
lecz lud już nie wojuje, bo wiedzą,
że kto dobro dał, ten dobro otrzymuje.

„Inni”, czyli kilka słów o protestanckich ruchach religijnych cz. I

Omawiając różnorodność etniczną i narodową Wielkopolski warto zatrzymać się choćby na chwilę na zagadnieniach innych podziałów, które dzieliły niegdyś ludzi. Jeszcze do dziś mocno zakorzeniony jest kolejny stereotyp podziału: Polak = Katolik, Niemiec = Protestant-Ewangelik. Jak to zwykle bywa, podział ten jest mocnym uproszczeniem, ponieważ w szerokim ruchu Reformacji, zwłaszcza w Wielkopolsce, brała udział znacząca część społeczeństwa polskiego.

A wszystko zaczęło się od protestu Jana Husa i jego zwolenników w Czechach, którzy w 1417 r. ogłosili swój protest, w którym domagali się m.in. sekularyzacji dóbr kościelnych i komunii pod dwiema postaciami. 100 lat później w 1517 r. Marcin Luter swoje krytyczne dla władzy kościelnej 95 tez przybija do drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze. Tak rodzi się protest skierowany przeciw dominującej roli Kościoła katolickiego w wielu sferach życia społecznego i drastycznym nadużyciom, których ludzie nie chcieli już tolerować. Kontrasty, podziały, przywileje i obciążenia feudalnej Europy stanowiły podatny grunt pod wszelkie prądy sprzeciwu i szybko przybrały formę rewolucji i zbrojnych, krwawych konfliktów.

Nowe poglądy docierają do Wielkopolski już po kilku latach od słynnego wystąpienia Lutra. Wiadomości i książki przywozili kupcy, którzy przyjeżdżali z Niemiec, studenci wracający z zachodnich uniwersytetów. Już w 1522 r. biskup Tomicki był mocno zaniepokojony sytuacją wyczuwalnego fermentu w Poznaniu i w kilku miastach w Wielkopolsce. Od 1525 roku niemieccy kaznodzieje otwarcie głosili nauki Lutra w kościołach farnych w Poznaniu i Kościanie. Niebagatelną rolę w pozyskaniu polskich elit dla reformacji

odegrał znany humanista Krzysztof Hegendorfer – profesor Akademii Lubańskiego w Poznaniu. Jego uczniami i zwolennikami jego idei byli ludzie, którzy później odegrali znaczącą rolę w ruchu reformatorskim: Rafał Leszczyński, Jan Krotoski, Stanisław Latalski, Andrzej Górka, Jakub Ostroróg i inni¹. Objawy sprzeciwu i reformatorskich poglądów mnożyły się na tyle, że w 1537 r. kapituła poznańska śle skargi na wielkopolską szlachtę, która zbyt życzliwie zapraszała innowierców do swoich dóbr.

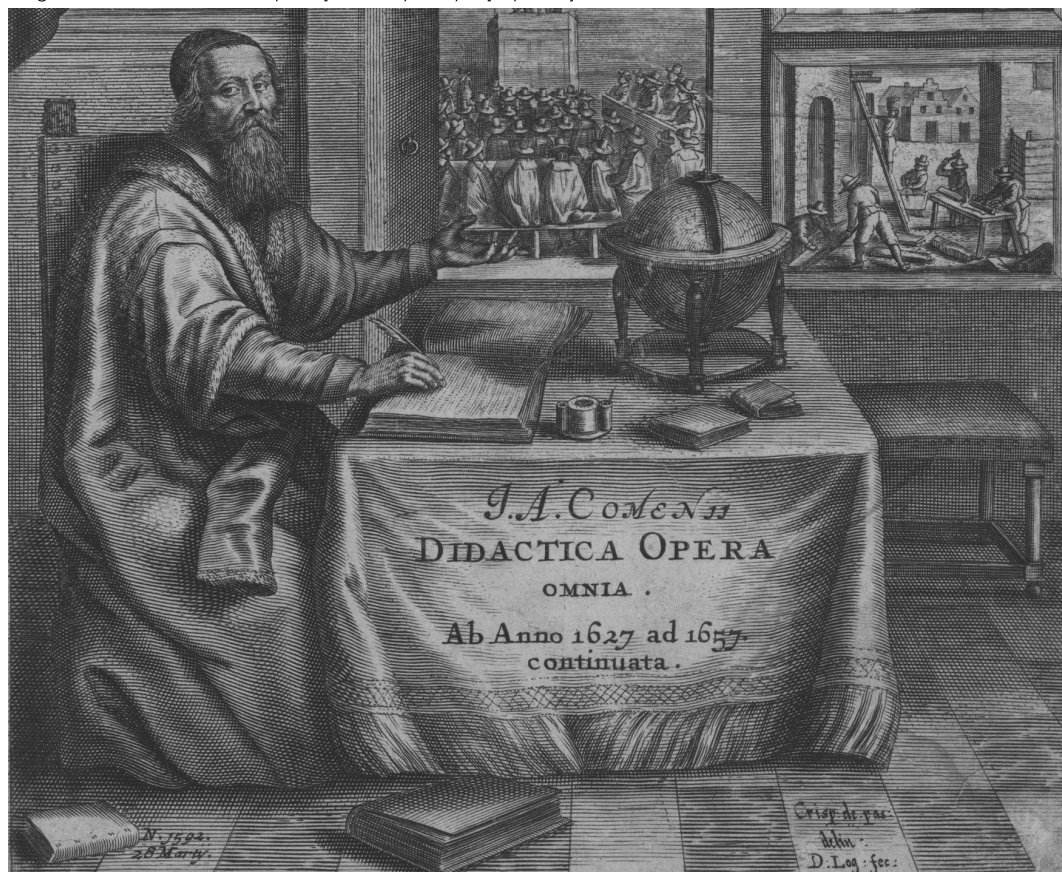
W 1548 roku przybyli do Wielkopolski bracia czescy, wygnani z Czech przez Ferdynanda I. Był to odłam husytyzmu pod nazwą Jednoty Braterskiej głoszącej nowe zasady budowania relacji społecznych. Głosili pełen pacyfizm, potępiali rozlew krwi i swój udział w służbie wojskowej i sprawowaniu urzędów. Z czasem łagodzili skrajne poglądy, choć zachowali żarliwość wiary oraz wysoki poziom oświaty i moralnych zasad. Wygnańcy zostali bardzo życzliwie przyjęci w Wielkopolsce. Starosta generalny Andrzej Górka pozwolił im osiedlić się na przedmieściach Poznania, a po sprzeciwach króla Zygmunta Augusta umieścił ich w swoich dobrach w Szamotułach, Kórniku i Koźminie. Z czasem dominującymi centrami nowej wiary stały się Ostroróg oraz Leszno. Bracia czescy pozyskiwali z powodzeniem przychylność coraz szerszych grup zamożnej i średniej wielkopolskiej szlachty. Warto wspomnieć takie rody jak np: Broniewscy, Bronikowscy, Bukowieccy, Kurnatowscy, Sucharzewscy, Szlichtyngowie, Żychlińscy. Czescy duchowni i nauczyciele pracowali w wieluzborach i szkołach całego kraju, jednak to Leszno gościło w latach 1628-1656 jednego z najwybitniejszych ludzi tej epoki – Jana Amosa Komeńskiego.

Urodzony w 1592 r. w Uherskim Brodzie, studiował na uniwersytetach w Heidelbergu i Herborn. Był ministrem, a od 1632 r. seniorem Jednoty. Jako przywódca radykalnego ruchu politycznego i religijnego podlegał represjom w Czechach, schronił się w Lesznie u wspomnianego już Rafała Leszczyńskiego. Ten wszechstronny intelektualista zajmował się wieloma dziedzinami: teologią, filozofią, dydaktyką, językoznawstwem, poezją. Po przybyciu do Leszna zaczął uczyć w gimnazjum, które dzięki niemu stało się znanym i cenionym miejscem edukacji polskiej i czeskiej młodzieży. W 1631 r. ukazał się jego słynny i rewolucyjny podręcznik *Ianua linguarum reserata* (Drzwi języków otworzone). Komeński, który zarzucał konserwatywnej szkole, że uczy „słów, a nie rzeczy”, starał się nie tylko uprościć naukę łaci-

ciny, ale połączyć ją z poznawaniem przez ucznia otaczającego świata i rodzimego języka². Idee Komeńskiego wywarły olbrzymi wpływ intelektualny, a sama postać zyskała uznanie społeczności Leszna na tyle, by ufundować mu pod koniec XIX wieku pomnik.

Czasem jest jednak tak, że wybitne postacie i głoszone poglądy spotykają się z trudną sytuacją polityczną, która prowokuje do podjęcia wyboru. W czasie potopu szwedzkiego w pełni ujawniła się zasadnicza sprzeczność interesów politycznych Polaków i braci czeskich oraz wielu grup kalwińskich i luterzańskich. Zaistniał otwarty konflikt katolickich, polskich patriotów i protestanckich „innych”. Dla pierwszych innowiercza Szwecja była śmiertelnym wrogiem, dla drugich jedyną

Fragment okładki *Didactica Opera* [Wielka dydaktyka] wydanej w 1657 r. w Amsterdamie z wizerunkiem autora



nadzieją na pełnię religijnej swobody. Po pierwszych zwycięstwach Szwedów i ucieczce Jana Kazimierza wśród szlachty zarówno ewangelickiej, jak katolickiej, nie brakowało ludzi gotowych uznać Karola Gustawa królem Rzeczypospolitej. Znamy historię tzw. zdrady pod Ujściem w 1655 r., gdy wielkopolskie wojska poddały się po krótkiej walce Szwedom. Kapitulacja wojsk wielkopolskich całkowicie zmieniła sytuację, otwierając Szwedom drogę w głąb kraju. W tych okolicznościach Komeński napisał utwór pt. *Panegyricus Carolo Gustavo*, w którym próbował przekonać króla, że Polakami nie można rządzić siłą, trzeba zapewnić im wolność oraz ukrócić nadużycia popełnione przez wojsko. Wszystkie te plany okazały się całkowicie nierealne. Karol Gustaw nie sięgnął polską koronę, a jego wojska bezbłędnie niszczyły i rabowały. Doprowadziło to do ogólnonarodowego powstania głoszącego hasła obrony zarówno wolności, jak i religii katolickiej. Powszechnie traktuje się wszystkich różnowierców jako zdrajców i sprzymierzeńców wroga, bez względu na postawę jednostek, która była bardzo różna: jedni brali udział w walce przeciw Szwedom, inni do końca stali po ich stronie. Rezultatem potopu szwedzkiego było to, że zarówno w Wielkopolsce, jak i w Małopolsce ustały protestanckie nabożeństwa, a wyznawcy musieli się ukrywać. Bracia czescy i inni innowiercy rozproszyli się po różnych krajach. Po ustaniu działań wojennych niewielu z nich powróciło do Polski. Komeński, który w pożarze Leszna utracił większość swoich rękopisów, zamieszkał w Amsterdamie, gdzie pozostał do śmierci w 1670 r. Był gorącym czeskim patriotą. Odczuwał również szczególną więź ze Słowakami, Polakami, Węgrami i Rusinami. Powoływał się na braterstwo Lecha i Czecha. Wzywał te „pokrewne” narody, aby pielęgnowały swoje języki i kulturę. Doszedł jednak do przekonania, że problemy trapiące ludzkość można rozwiązać tylko w skali globalnej. Do końca życia pracował nad tą utopijną wizją, w której można znaleźć myśli zdumiewająco aktualne. Był ostatnim biskupem Jednoty czesko-morawskiej. Umierał z nadzieją, że Bóg w miejsce małej Jednoty powoła wielką, obejmującą wszystkie narody świata³.

Historia braci czeskich i ich wpływu na procesy kształtowania ruchu protestanckiego w Polsce jest opowieścią o napływie kilku tysięcy uciekinie-

rów, którzy znajdują polskich patronów i opiekunów, znajdują spokój, a ich działania zmieniają światopoglądy wielu ich nowych wyznawców. Ich siłą są nie tylko nowe poglądy burzące stare przyzwyczajenia i zniechęcające układy, ale także własny przykład ludzi moralnych i prawych. Podobnie jak i inne nurty protestanckie – luterkańskie, kalwińskie, ariańskie – stosują w praktyce dążenie do coraz to większego doskonalenia jednostki poprzez obowiązkowy dla wszystkich system kształcenia. Zakładają szkoły, drukują książki, a dzięki temu budują nową społeczność większych i mniejszych miast, w których jakżeż często stanowią elitę intelektualną.

By zakończyć opowieść o braciach czeskich, warto wspomnieć, że nie wszyscy poddali się represjom kontrreformacji i pozostali w Polsce, zbliżając się do doktrynalnie do kalwinizmu. Z czasem bracia czescy jako wspólnota wyznaniowa zostali włączeni w struktury Kościoła ewangelicko-reformowanego, zachowując jednak niektóre swoje tradycje. Od końca XIX wieku do dziś tworzą małe wspólnoty na Dolnym Śląsku: w Strzelinie oraz w Żelowie koło Bełchatowa, gdzie w 1802 r. bracia czescy kupili majątek i z czasem zdominowali wielokulturową społeczność miasteczka. Tuż przed wybuchem II wojny światowej było ich tu ponad trzy tysiące.

Po wojnie, ze względu na antagonizmy narodowe często używające argumentów różnicy religijnej, większość czeskich mieszkańców przeniosła się do Czechosłowacji. Ci, którzy pozostali, stanowią najsilniejszy ośrodek mniejszości czeskiej i zarazem prężną parafię Kościoła ewangelickiego opartego na wartościach dawnych braci czeskich. We wnętrzu kościoła w Żelowie dominuje kalwińska prostota i skromność z dominującymi epitafiami J. Husa, J. Kalwina, J. Łaskiego i oczywiście Jana Amosa Komeńskiego z Leszna. Jemu też jest poświęcona duża część Muzeum w Żelowie – Ośrodek Dokumentacji Dziejów Braci Czeskich.

Witold PRZEWOŹNY

¹ *Dzieje Wielkopolski*, red. J. Topolski, t.1, s. 544

² *Bracia czescy w Lesznie na tle historii europejskiej*, <http://www.nasza-wielkopolska.eu>

³ <http://www.nasza-wielkopolska.eu>

Latarniczka i Latarnik

Nie samym chlebem

Zespół prowadzący przeglądarkę internetową Google ma zwyczaj przypominania użytkownikom historycznych dat, świąt czy też bieżących wydarzeń ważnych dla świata, kontynentu, kraju. Jeśli zespół uzna, że do danego dnia można przypisać coś naprawdę istotnego, w oknie przeglądarki, centralnie, zamiast logotypu potentata pojawiają się tak zwane Doodle (w dosłownym tłumaczeniu: gryzmoły) – grafika lub animacja na zadany temat. Oklepany frazes – genialne w swojej prostocie – tu pasuje jak ulał. Rzecz jest przyjemna dla oka, a czasem okazuje się naprawdę interesująca, zwłaszcza gdy Doodle prezentują historyczną postać, którą jest mało znana, choć zasługuje na uwagę. Tak zaczął się mój dzień 25 lutego 2017 roku, kiedy to poznałam Idę Lewis. Była to rocznica jej urodzin. Seria slajdów prezentowała kobietę w łodzi wiosłowej, która wyciąga z wody żołnierzy, zawsze w dramatycznych „okolicznościach przyrody” – to burza, to spienione fale, to popękany łód. Pomyślałam, że to może być ciekawe i zaczęłam czytać.

Ida Lewis była latarniczką, która uratowała z morskich odmetów wgróźnych szacunków od 13 do 26 osób. Polska Wikipedia podaje nawet liczbę 40. Inne źródła twierdzą, że oficjalnie ocalała 19 istnień ludzkich. Nie, nie na raz. Przez całą swoją 39-letnią służbę. Ostatnią osobę uratowała mając 63 lata. Została okrzyknięta najodważniejszą kobietą Ameryki, pojawiała się na okładkach dzienników, tygodników i czasopism kobiecych. Była najlepiej opłacanym latarnikiem i bohaterką narodową. Ktoś nawet wybił medal na jej cześć. O tym za chwilę, najważniejszy jest pierwszy wstrząs: kobieta-latarnik rzuca się łódeczką na wzburzone morze, by ratować tonących. Nie raz, nie dwa – kilkanaście bądź kilkadziesiąt.

Ameryka, XIX wiek, latarnia morska... Niestety. Niestety nie sposób nie pomyśleć w tym momencie o bohaterze noweli Sienkiewicza. Jak skrajnie odmienna jest jego historia, jaki się jawi żaloszny i beużyteczny, jak strasznie głupio zasnął nad tym *Panem Tadeuszem*! Ech, wróćmy lepiej do Idy.

Idawally Zorada Lewis-Wilson urodziła się 25 lutego 1842 roku w Newport, w hrabstwie Newport, w stanie Rhode Island, jednym ze stanów Nowej Anglii, położonym w północno-wschodniej części USA na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego. Jej ojciec, kapitan Hosea Lewis służył w Amerykańskiej Straży Wybrzeża (US Coast Guard) nazywanej wówczas Amerykańską Służbą Latarniową (jakoś tak – US Lighthouse Service). Gdy Ida miała niecałe 12 lat, w 1853 roku ojciec dostał przydział do latarni morskiej Lime Rock w porcie Newport. Lime Rock to wysepka położona około 200 metrów od wybrzeża. Była połowa XIX wieku i dla wszystkich było oczywiste, że dziewczyna jest wystarczająco dorosła, by pomagać rodzicom w pracy. Przejęła funkcję rodzinnego zaopatrzeniowca i szybko opanowała sztukę wiosłowania – łódź wiosłowa była jedynym środkiem komunikacji ze stałym lądem. Nauczyła się też świetnie pływać. Jako piętnastolatka została najlepszą pływaczką w Newport. Postać Idy obrosła amerykańską legendą, więc fakty nieco w różnych relacjach się mieszają. Jedni twierdzą, że pierwszy ratunek miał miejsce już, gdy miała 12 lat. Pomagała ojcu ratować czworo ludzi z rozbitej łodzi. Niektórzy z kolei piszą, że miała wówczas 16 lat, ale wtedy nie mogłaby pomagać ojcu, bowiem ten w 1854 roku został sparaliżowany w wyniku udaru, a jego obowiązki latarnika przejęła żona wspierana przez nastoletnią córkę.

Ameryka usłyszała o Idzie Lewis w 1869 roku, gdy 29 marca ocalała przed utonięciem w samym środku burzy sierżanta Jamesa Adamsa i szeregowca Johna McLaughlina z Fort Adams. Żołnierze płynęli małą łodzią przez port w kierunku garnizonu. Łódkę prowadził czternastoletni chłopiec, który deklarował, że zna drogę i sobie poradzi. Burza śnieżna wzburzyła portowe wody i łódź się wywróciła. Żołnierze przylgnęli do kadłuba, a chłopiec zniknął w lodowatej toni. Pani Lewis wypatrzyła tonących i zawołała Idę, która, nie tracąc czasu na ubieranie się, ruszyła na ratunek boso. Z pomocą brata wciągnęła tonących do swojej łodzi i przetransportowała ich bezpiecznie na wyspę. Kobieta, która uratowała dwóch mężczyzn, okrzyknięta została amerykańską Grace Darling.

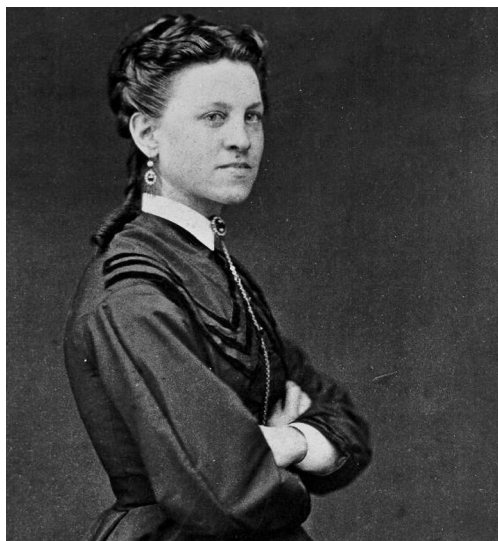
Grace Darling też była córką latarnika, angielskiego, i też pomogła ojcu w akcji ratowniczej, po czym samodzielnie wróciła na morze po kobietę z dziećmi. Było to w 1838 roku i Grace stała się bohaterką Zjednoczonego Królestwa. Co ciekawe, Grace zmarła młodo i to w tym samym roku, w którym Ida przyszlana świat. Pomijając jak głupiej jest nazywanie wybitnego człowieka imieniem innego wybitnego człowieka – polski James Bond, niemiecki Małysz, francuski Beethoven..., powiedzmy wprost: wkrótce Ida nie miała sobie równych i to jej nazwisko wracało na czołówki

gazet. Choć jeszcze dzisiaj internetowa wyszukiwarka grafiki na hasło „Ida Lewis” wyświetla obraz młodziutkiej wioślarki pośród spienionych fal, będący wizerunkiem właśnie Grace Darling. W każdym razie, gdy Ida pojawiła się na okładce gazety „Harper’s Weekly” 31 lipca 1869 roku, sam prezydent Grant przybył do Newport, by się z nią spotkać. Wdzięczni koledzy z garnizonu Fort Adams zrobili składkę i przekazali Idzie 218 dolarów, a jeden z ocalonych żołnierzy ofiarował jej złoty zegarek. To były czasy!

Rok później Ida wally Zorada Lewis w wieku 28 lat poślubiła kapitana Williama Wilsona, ale chyba nie dorastała do roli męża bohaterki i zniknął po dwóch latach. Ida wróciła na swoją wysepkę. W 1873 roku zmarł Hosea Lewis i latarniczką w Lime Rock została Zorada, matka Idy, choć obowiązki pełniły obie. Zorada zmarła w 1878, a Idę wcielono do federalnej służby i oficjalnie zatrudniono jako latarnika w Lime Rock w 1879 roku. Przypomnę – była najlepiej opłacanym latarnikiem wśród siebie współczesnych. Gdy skończyła 64 lata, otrzymała pensję w wysokości 30 dolarów miesięcznie od Fundacji Bohaterów Andrew Carnegie’ego i najprawdopodobniej przeszła na emeryturę. Zmarła 24 października 1911 roku. W Newport były dzwony i rozlegał się honorowy gwizd w porcie. Pochowano ją na lokalnym

Lime Rock, Rhode Island, latarnia morska. Ida Lewis biegnie do swojej łodzi





Ida i walley Zorada Lewis-Wilson

mentarzu na honorowym miejscu, a jej pogrzeb przyciągnął tłumy. W 1924 roku latarnię w Lime Rock nazwano jej imieniem, co było jedynym przypadkiem w całej historii – że się tak wyrażę – latarnictwa w ogóle. Dzisiaj na wysepce funkcjonuje Ida Lewis Yacht Club.

Ale, ale! To jeszcze nie koniec. 16 lipca 1881 roku Ida Lewis została uhonorowana Złotym Medalem za Ratowanie Życia przez prezydenta Ulyssesa S. Granta za ocalenie dwóch żołnierzy, którzy zapadli się pod lód, przemierzając pieszo portowe wody w lutym 1881. W uzasadnieniu czytamy: „Złoty medal został przyznany pani Idzie Lewis-Wilson, która zdobyła sławę w całym kraju, ratując wielu ludzi pod nazwiskiem Ida Lewis. Akta dołączone do wniosku złożonego w jej sprawie do Departamentu wykazały, że uratowała od utonięcia trzynaście osób i jest oczywiste, że liczba ta była prawdopodobnie znacznie większa. Szczególnie wydarzenie, za które Ida Lewis otrzymuje ten medal, to jej akcja ratunkowa z 4 lutego 1881 roku.

O godzinie 5 rano dwaj żołnierze należący do garnizonu Fortu Adams w okolicach Newport przechodzili piechotą między koszarami a latarnią Lime Rock, gdzie Lewis-Wilson była latarniczką. Nagle kruchy lód się załamał. Usłyszawszy rozpaczliwe okrzyki pani Lewis-Wilson pobiegła do nich z liną. W bezpośrednim niebezpieczeństwie,

na cienkim lodzie, który się pod nią załamywał, i mimo że została wciągnięta do wody przez mężczyzn, zdołała wyciągnąć pierwszą, a potem drugą osobę. Pierwszego mężczyznę wydostała całkowicie bez pomocy. W międzyczasie przybył jej brat i pomógł z drugim. W swoim działaniu wykazała stalowe nerwy, przytomność umysłu i niewiarygodną odwagę. Lód wtedy był bardzo niebezpieczny – wkrótce po tym wydarzeniu inni dwaj mężczyźni utonęli w tych samych warunkach. Wszyscy świadkowie potwierdzili, że pani Lewis-Wilson pospieszyła na ratunek, narażając się na ryzyko utraty życia”.

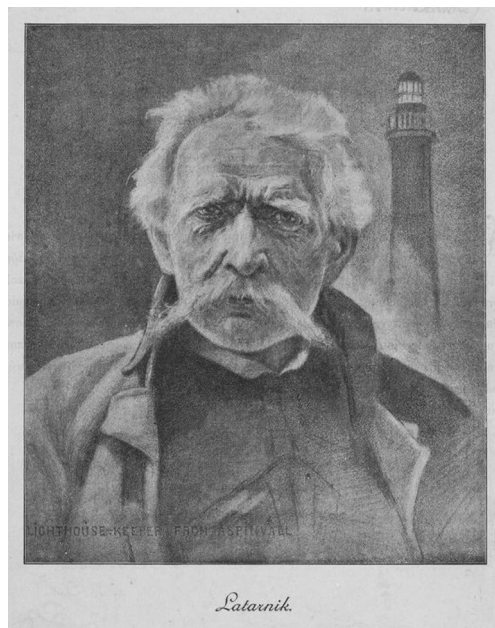
Ida Lewis otrzymała wiele innych odznaczeń. Ludzie spontanicznie ślali jej prezenty, pisano dla niej utwory muzyczne, w tym – hm, polski akcenik – utwór *Rescue Polka Mazurka* niejakiego Sidneya Lamberta. Całkiem niedawno niejaka (!) Lenore Skomał napisała o niej książkę pod jakże skandalicznym tytułem *Lighthouse Keeper's Daughter* [Córka latarnika]. Córka latarnika?! Kapitan Hosea Lewis jako latarnik funkcjonował zaledwie przez kilka miesięcy. Resztę życia spędził częściowo sparaliżowany i zajmował się głównie zliczaniem ciekawskich, którzy przybywali do Newport pogapić się na jego córkę – latem 1869 roku naliczył dziewięć tysięcy...

Teraz już czas na pana Skawińskiego. Nowela *Latarnik* ukazała się drukiem w 1881 roku. Tak, w tym samym roku, w którym Ida Lewis-Wilson otrzymywała odznaczenie od prezydenta Granta i była na ustach całej Ameryki. Co ten pan Henryk robił w Ameryce, skoro kompletnie zignorował przypadek Idy i stworzył tak kuriozalnego bohatera? Pamiętałam tę nowelę z podstawówki, być może za sprawą zupełnie ekstraordynaryjnej nauczycielki polskiego, która – choć znakomity pedagog – napelniała nas tak samo strachem jak śmiechem, a ponieważ jej się baliśmy, gdy sprawiała, że nie mogliśmy ze śmiechu wytrzymać, wszyscy nagle szukaliśmy czegoś w tornistrach pod ławką. *Latarnika* czytała nam na lekcji. Niby nic, normalnie. Gdy jednak doszła do wypowiedzi w języku angielskim i przeczytała: „Ole-rajt”, dając akcent na „e”, po prostu się popłakaliśmy. Cóż. Być może właśnie dzięki temu zapamiętałam ten dramat dramatów, tragedię żołnierza-tułacza, nieszczęśnika prześladowanego przez los, czo-

wieka obciążonego fatum, rzućanego przez świat w lewo i prawo, w amazońskiej dżungli i w innych geografiach miotanego mocą żywiołów, wicherów, susz i egipskich plag. I ten pomysł, że gubernator (tej funkcji nie powierzano byle komu) zatrudnia jako latarnika siedemdziesięciolatka! Aw latarni 400 schodów na górę... No nie!

Na Wikipedii piszą, że to jedna z najlepszych polskich nowel! Błagam! Ja wiem, wiem, bardzo wielu jest wśród nas wielbicieli prozy Henryka Sienkiewicza i serdecznie ich przepraszam. Przeczytałam *Latarnika* jeszcze raz, właśnie teraz, gdy poznałam Idę Lewis i to „dzieło” było moim pierwszym skojarzeniem. Nie mam pojęcia, czy w XIX wieku istniał zawód redaktora, jednak ten utwór naprawdę wymagał redakcji. On wręcz woła o redakcję. To się nie zgadza geograficznie, historycznie – jeden człowiek by nie zdążył przeżyć życia bohatera, logicznie też nie. Ja mam litość dla biednego starca, który zawiódł i to zapewne po raz kolejny, lecz nie mam litości dla Sienkiewicza. Jak on wpadł na pomysł takiego „rozpacziwca”? Polacy wówczas rozpierzchli się po świecie – to oczywiste. Nie byli jednak tak kosmicznymi nieudacznikami! Beniowski, Strzelecki, Arctowski, że już Kościuszki i Puławskiego nie wspomnę, że wielu, wielu innych. Że nad *Panem Tadeuszem* zasnął, że go tam Mickiewicz do „pagórków zielonych” przeniósł? Nie! Ta historia jest naciągana, niedobra, nie-do-czytania. Mam nadzieję, że nie zadręczamy już dzieciaków taką „lekturą”.

A tu w kontrze Ida Lewis, prosta kobieta, od dzieciństwa los zdeterminowany: urodziła się w Newport i umarła w Newport. Dobrze, że było nad morzem, bo gdyby urodziła się gdzie indziej, pewnie nigdy by morza nie zobaczyła. Proste przypisanie do roli, którą los wyznaczył. Proste przypisanie do miejsca. To takie... dziewiętnastowieczne. Kobieta nie ma żadnych praw w teorii. W praktyce okazuje się być wybitna i doceniona. Nie przypuszczam, że specjalnie się nad tym zastanawiała – obowiązek wzywał, na życie trzeba było zarobić. Mężczyźni zawiedli, a latarnia musiała świecić. Ponoć, kiedy jeszcze była młodą kobietą, zwracano jej uwagę, że wiosłowanie nie jest kobiece! Ponoć odpowiedziała wówczas: „Być może, ale tylko osioł uznałby, że ratowanie życia też nie jest kobiece”.



Piotr Stachiewicz *Latarnik* - ilustracja do noweli Henryka Sienkiewicza *Latarnik*, Muzeum Narodowe w Warszawie

Przeżywamy dzisiaj nasilenie feminizmu. Kobiety w każdy możliwy sposób podkreślają swoje równe prawa w społeczeństwie, w rodzinie czy w pracy. „Ekstremistki” zaczynają odmieniać nazwy ważnych funkcji przez rodzaje: premiera, ministra, prezesa... To są tylko słowa i to w jednym z trudniejszych języków świata – w języku polskim. W języku angielskim Ida Lewis była *lighthouse keeper* – latarnikiem. W języku polskim może sobie być i latarniczką. Nie zmienia to faktu, że była znakomitym pracownikiem i niezwykle odważnym człowiekiem – niezwykle odważną osobą, jeśli ktoś woli rodzaj żeński. Pracowitość, odwaga czy talent nie mają płci. Gdyby pozostać przy zestawieniu Lewis-Skawiński, blade wypada raczej męska część ludzkości, ale Skawiński jest zbyt fikcyjny nawet jak na fikcję literacką i daleka jestem od nadużywania takich porównań. Przykład Idawally Zorady Lewis-Wilson pokazuje, że pełnię praw nabywa się uczciwą pracą i odwagą, przynajmniej w warunkach pokoju i takiej takiej demokracji.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Szczepan Twardoch. Król twardzieli

Z górnej półki

Znany polski pisarz Szczepan Twardoch jest osobą bardzo medialną. Świadczy o tym nieskończona liczba krążących w Internecie wywiadów przeprowadzonych głównie przez zauroczone nim dziennikarki. Bo Twardoch to ciężko przystojny, bezkompromisowy i prowokujący młody mężczyzna. Nie obawia się nazywać rzeczy po imieniu, często dosadnie, nie ukrywa bynajmniej, że zdecydowany podział na świat męski i damski z ich tradycyjnymi rolami, bardzo mu odpowiada, a polityczną poprawność wymuskanych inteligentów ma za nic. Jego ostatnia powieść *Król* jest taka sama jak jego autorska osobowość: męska, bezkompromisowa i prowokująca, a przy tym do przesyty przepełniona przemocą.

Historia toczy się głównie w środowisku żydowskich gangsterów, czasami zwanych apaszami lub urkami. Przewodzi im Jan Kaplica, pseudonim Kum, polski socjalista, towarzysz broni Piłsudskiego, chroniony przez władzę, która w imię dawnych zasług przymyka oczy na jego niecne bandyckie występki – haracze, wymuszenia, prostytucję, morderstwa i napady. Postać podobno wzorowana na prawdziwej.

Główny bohater, Jakub Szapiro, bokser i tzw. cyniel gangu Kaplicy, to postać jak ze Scorsese’a – romantyczny bandyta, silny i piękny, obdarzony w dodatku duszą. Wielu takich znamy z filmów o amerykańskiej mafii.

Rzecz dzieje się w Warszawie w roku 1937, dwa lata przed wojną. Sytuacja polityczna jest skomplikowana: zwalczające się wzajemnie frakcje prawicy, rosnący faszyzm, manifestacje socjalistów, powstanie owianej złą sławą Berezę Kartuskiej, nacjonalizm i antysemityzm, niepokój społecz-

ności żydowskiej wywołany sytuacją w Polsce i w Niemczech Hitlera. Pojawia się nawet wątek zamachu na obecne władze celem zaprowadzenia „porządku”, czystki, także etnicznej. Mowa jest o obozach koncentracyjnych, o przepisach dyskryminujących Żydów. Prawicowa prasa i politycy nawołują wprost do wykluczenia ich z polskiej społeczności, zmuszenia do ucieczki lub wygnania z kraju. Zwycięzać zaczyna idea „Wielkiej Polski” oczyszczonej z obcych kulturowo. Namacalna jest wzajemna nienawiść Polaków i Żydów. Czasami kontekst społeczno-polityczny książki wydaje się nam znajomy, np. w momencie, gdy uwikłany w zamach, faszystujący pułkownik Koc zwraca się do swojego kierowcy, wskazując bójkę młodych falangistów – „Oto nowa Polska rodzi się, sierżancie”, a ten, odpowiadając „Tak jest”, myśli jednocześnie – „Trzeba jednak emigrować do Ameryki, żona miała rację”...

Bardzo spodobało mi się, że autor z dużą precyzją odtworzył przedwojenną Warszawę, nieistniejące już zakamarki miasta, głównie żydowskiej części – tłem akcji są Kercelak, Nalewki, Gęsia, drobne geszefty, cukiernie, pasztecianie i restauracje, tanie jatki, zakłady krawieckie, pobożni Żydzi, kobiety w perukach, straganiarze i studenci. Czytelnik z zainteresowaniem wraca do tego zapomnianego świata, tak dobrze niegdyś opisanego przez Singera. Warszawa w powieści Twardocha jest znowu wielokulturowa i malownicza.

Jednak mam wrażenie, że autor, sam zafascynowany boksem, napisał tę książkę głównie o przemocy. Mamy więc sporo szczegółowych opisów bójek, obficie tryska krew, lecą wybite kastetem zęby, kilka razy odcina się komuś przyrodzenie, ćwiartuje ofiary itp. Słowem, nie jest to grzeczna

bandycka ballada, tylko dosadny opis przemocy, którym autor wyraźnie „po męsku” się napawa. Pełen agresji jest też język, którym posługują się bohaterowie. Słowo na „ch” pojawia się z dużą częstotliwością w różnych okolicznościach, używa go też bez żenady Emilia, żona boksera, pochodząca przecież z porządnej inteligenckiej rodziny. Rozumiem, że rzecz toczy się w półświatku, wulgaryzmy są prawdopodobnie w nim na porządku dziennym, ale dużo w tym chyba przesady. Jeśli autorowi chodziło o to, by tym rozwiązłym językiem podkreślić wszechobecność przemocy, to musiał udać. Jednocześnie dialogi są mocną stroną książki: wartkie, dowcipne i, co najważniejsze, prowadzone językiem przedwojennym, znanym nam ze starych czarno-białych filmów, z książek Nałkowskiej czy Kuncewiczowej. Teraz już tak się nie mówi. Szczepan Twardoch wrócił do tego języka w sposób bardzo uwiarygadniający akcję. Nie braknie też całych wypowiedzi w jidysz (przetłumaczonych, oczywiście).

Oprócz przemocy, mamy w powieści do czynienia z całą kolekcją męskich gadżetów opisanych ze szczegółami, których nie powstydziliby się blogerka modowa: garnitury, koszule, zegarki, samoloty, chryslery i cadillaki oraz, oczywiście, pistolety! Brakuje tylko smartfonów, no nie było ich w tamtych czasach.

Kobiety w książce pojawiają się rzadko, obsadzone w roli żon i kochanek, są całkowicie wyjęte z męskich wyobrażeń (tak samo zresztą, jak liczne sceny erotyczne). Jednak druga część książki, w której piękny Jakub zostaje skonfrontowany z namiętnością do „obcej”, polskiej panny z wyższych sfer, a jednocześnie nagle musi podjąć wiele decydujących dla siebie i rodziny kroków, jest już

klasycznym romansem i nie ukrywam, że rozterki duszy bohatera w ostatniej części powieści, bardziej przemawiają do mnie niż męskie chłanie i łanie po mordach. Niemniej *Król* Szczepana Twardocha jest kawałkiem świetnej prozy i, chociaż ocieka testosteronem, książkę dobrze się czyta, nawet będąc kobietą.

J.A.

Król, Wydawnictwo Literackie, 2016



KWESTIONARIUSZ KULTURY



rys. U. Łukomska

Gabriela Wasielewska

Śremianka, z zamiłowania i wykształcenia animator kultury, także instruktor tańca i różnych form ruchowych (gimnastyka jazzowa, callanetics, stretching, aerobick, joga).

Blisko 40 lat kreowała życie kulturalne Śremu: 24 lata jako kierownik Międzyspółdzielnicznego Klubu „Maciuś” i 15 lat jako dyrektor Śremskiego Ośrodka Kultury. Społecznik, członek wielu stowarzyszeń i organizacji. Trzy kadencje radna Rady Powiatu Śremskiego (1998-2010), w tym przez dwie kadencje (2002-2010) jej przewodnicząca. Z posiadanych odznaczeń najbardziej ceni lokalne wyróżnienie tytułem Śremianka Roku 1993 oraz Zasłużony Działacz Kultury i Złoty Laur Sceny na Piętrze.

1 Kim jestem...

Zawodowo – animator kultury; prywatnie – siostra, żona, mama i ostatnio babcia.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Wiele pięknych chwil w życiu rodzinnym i zawodowym.

3 W czym jestem dobra...

We wszystkim, co robię – bo lubię to, co robię, robię na maxa i do znudzenia poprawiam.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Sprawność fizyczną i umysłową do końca.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Być asertywną.

6 Co daje mi szczęście...

Pomaganie, szczęście bliskich.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Dzień urodzin.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Właśnie przyjaźń.

9 Bohaterstwo to dla mnie...

Pokonanie strachu.

10

Epoka, w której chciałabym żyć...

Ważniejsze od epoki jest otoczenie, warunki, możliwości...

11

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Ciężkie choroby, utrata bliskich.

12

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Rodzina, zdrowie.

17

Moja największa wada...

Drobiazgowość, dociekliwość, upartość.

14

Główna cecha charakteru...

Wrażliwość, pracowitość, solidność.

15

Moje motto życiowe...

Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe

14

Ulubiony dźwięk...

Mruczenie kota, „gadanie” wnusia i ogólnie muzyka.

17

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Niektóre drażnią (np. pisk), niektóre budzą niepokój (np. ryk syren).

18

Nie mogłabym żyć bez...

Rodziny, miłości, sztuki.

19

Co wzbudza we mnie lęk...

Agresja, przemoc, zagrożenie; także ból.

20

Moje ukryte marzenie...

Pozostanie ukryte.

21

Dar natury, który chciałabym posiadać...

Talenty artystyczne.

22

Zawsze śmiesz mnie...

Kabaret Olgi Lipińskiej, Zenon Laskowik, inteligentny żart...

27

Słowo, którego nadużywam...

Jeżeli usłyszę – przestanę nadużywać.

24

Zdanie o mnie, które zapamiętałam...

„Ojciec byłby z pani dumny” (dr W. Romanowski wręczając mi tytuł Śremianki Roku 1993)

25

Mysł, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Dam radę.

26

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Wybaczę.

27

Wolność to dla mnie...

Wiem, kiedy mam poczucie wolności, a kiedy nie. Opisać jednym zdaniem nie umiem.

28

Kim chciałabym być, gdybym nie była tym kim jestem...

Artystką.

29

Obecny stan mojego umysłu...

Wspomagam lecytyną.

30

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Wystarczy, że zostanę w pamięci.

NASZTALENT

Julia Mozgawa
Christoph Czapla



JULIA MOZGAWA

Rocznik 1990, absolwentka śremskiego LO, studiowała Kulturoznawstwo na UAM w Poznaniu. Mieszka i pracuje w Holandii. Pasjonuje się zielarstwem.

CHRISTOPH CZAPLA

Rocznik 1990, absolwent śremskiego LO i mechatroniki na PP. Mieszka i pracuje w Śreміe.

FB : <https://www.facebook.com/gringostravel/>

Trudno wyobrazić sobie dwie bardziej różne osoby: Julia – wulkan energii, głośna, nieco roztrzępana i opanowany, zaplanowany, poukładany Christoph. Tacy różni..., a jednak połączyło ich wspólne marzenie – chęć przeżycia wielkiej przygody. Nawet się wcześniej nie znali – to dzięki przyjacielowi Christopha opracowali plan wspólnej wyprawy...

Julia podróżowała „od zawsze” i zawsze autostopem. Wszystko zaczęło się od koncertu Gorana Bregovica, na który pojechała autostopem w wieku 19 lat. Prawdziwe podróże zaczęły się po studiach – zaczęła organizować małe kilkusobowe wyprawy do Serbii, Bośni, Kosowa.

Christoph żył sobie spokojnie – jeździł na zorganizowane wyjazdy ze znajomymi, wyprawy ro-

werowe... Zamarzył o Ameryce Południowej podczas pobytu w Anglii. Przypadkowe spotkanie w pubie z inżynierem chemikiem, który rzucił wszystko dla swojej pasji – archeologii – zainspirowało go do podjęcia decyzji o wyprawie do Ameryki Południowej.

Potem wszystko potoczyło już szybko: spotkanie z Julią, ustalenie najniezbędniejszych szczegółów, podział obowiązków i wyjazd. Plany? „Właściwie nie było planu, o wszystkim mieliśmy decydować na miejscu. I tak się też stało. Rozmawialiśmy z ludźmi, dopytywaliśmy, zaznaczaliśmy na mapie i jechaliśmy czym się dało, byle dotrzeć, zobaczyć...”

13 miesięcy, ponad 47 tys. kilometrów, kilkanaście odwiedzonych krajów: Brazylia, Urugwaj, Argentyna, Chile, Paragwaj, Boliwia, Peru, Ekwador, Kolumbia, Wenezuela, Gujana Brytyjska, Surinam, Gujana Francuska, różne kultury, wiele przygód, miejsca, gdzie dotąd nie było nikogo obcego, a co dopiero Europejczyka.

To była wspaniała przygoda – piękna, ale też niezwykle niebezpieczna. Udało im się bezpiecznie wrócić do domu, choć pewnie pamiętamy niemałe zamieszanie spowodowane brakiem wiadomości od nich i szeroką internetowo-telewizyjno-prasową akcją poszukiwawczą.

Po tej wyprawie Julia już wie, że Brazylia to jej miejsce na ziemi i planuje przeprowadzkę do tego kraju. Christoph chce trochę pomieszkać w Polsce, popracować – ale, w przeciwieństwie do Julii, potrzebuje trochę czasu na poukładanie sobie planów.

JULIA

JESTEM... kosmopolitą.

CHCIAŁABYM... nauczyć się sztuki zielarstwa. W ten sposób mogłabym pomagać ludziom.

MYŚLĘ O... osiedleniu się blisko morza, z daleka od cywilizacji.

INSPIRUJE MNIE... bujanie w chmurach. Wtedy przychodzą mi do głowy przełomowe pomysły.

POTRAFIĘ... wyczuć panującą atmosferę i łatwo nawiązywać kontakt.

LUBIĘ... uczyć się nowych rzeczy, które od razu mogę wykorzystać lub przetestować w życiu.

MUSZĘ... działać spontanicznie i zgodnie z intuicją. Inaczej nie byłabym sobą.

ŻAŁUJĘ... Niczego nie żałuję! Jeśli stało się coś, co sprawiło mi przykrość, wyciągam z tego naukę i idę dalej.

BOJĘ SIĘ... Nie ma takiej rzeczy. Ale kiedyś bałam się węży i dużych pająków.

CHRIS

JESTEM... niespełnionym muzykiem, marzycielem uwięzionym w ścisłym umyśle, czyli takim ograniczonym umysłowo artystą ;).

CHCIAŁBYM... nauczyć się umiejętności porozumiewania się z każdym człowiekiem i jeszcze chciałbym mieć fortepian.

MYŚLĘ O... teraźniejszości i przez to mi ona umyka, dlatego staram się za dużo nie myśleć.

INSPIRUJE MNIE... absurdy występujące w naszym życiu, wynikające z błędnie rozumianego przez nas świata, błędnych założeń i niespełnionych oczekiwań.

POTRAFIĘ... uporczywie dążyć do celu, celem nie uświęcając środków.

LUBIĘ... poznawać ludzi, stawiać naprzeciw nowym wyzwaniom.

MUSZĘ... Ja nie muszę, jak już to chcę.

ŻAŁUJĘ... Jeszcze nie żałuję i nie chcę bym kiedykolwiek musiał żałować.

BOJĘ SIĘ... że kiedyś nie będę mógł, a będę chciał.

Ewa NOWAK

Kret / El Topo

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Obraz z pogranicza jawy i snu, fantazji i halucynacji. Ten niezwykle, barwny, surrealistyczny western jest po prostu filmem wyjątkowym. To film bezsprzecznie kultowy, klasyk tzw. midnight movies.

Alejandro Jodorowsky uważany jest za jednego z najbardziej oryginalnych twórców awangardowych. Urodził się w 1929 roku w Chile w rodzinie żydowskich emigrantów z Ukrainy. W 1953 roku wyemigrował do Paryża, a w 1960 r. osiadł w Meksyku. Jego pierwszy pełnometrażowy film *Fando i Lis* o parze kochanków poszukujących miasta szczęścia po premierze na festiwalu filmowym w Acapulco pokazywano w atmosferze skandalu, reżyser ledwo uniknął linczu i został dekretem burmistrza wyrzucony z miasta, a nawet domagano się jego deportacji z Meksyku. Drugi film *El Topo* (*Kret*) nie uzyskał tego powodu zgody na wystanie na festiwal filmowy w Cannes, został jednak zgłoszony jako meksykański kandydat do Oskara. *El Topo* miał swoją premierę 17 grudnia 1970 roku na nieoficjalnym pokazie zamkniętym w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, a od następnego dnia grany był siedem dni w tygodniu przez ponad pół roku w kinie The Elgin na specjalnych pokazach o północy, gdzie cieszył się pełną widownią mimo braku jakiegokolwiek reklamy.

Kret jest surrealistycznym westernem pełnym metafor i symboli. To jeden z najoryginalniejszych filmów w historii kina, niezwykle od strony wizualnej, stanowiący intensywne doświadczenie, które odebrać można tylko otwartym umysłem. Stara się on uchwycić logikę snów, umieszczając widza jakby w ich wnętrzu. Trzeba jednak pamiętać, że na sny składają się zarówno

marzenia senne, jak i nocne koszmary. Niemniej przemoc i sceny seksualne nabierają w tym filmie niecodziennej poetyki, świetnie współgrając z religijnymi i okultystycznymi symbolami.

Fabula filmu jest prosta. Tytułowy Kret to tajemniczy, ubrany na czarno rewolwerowiec podróży na koniu przez pustynię wraz ze swoim siedmioletnim synem i wymierzający sprawiedliwość bandytom dokonującym krwawych rzezi okolicznych mieszkańców. Zauroczony jedną z poznanych kobiet decyduje się na pozostawienie syna we franciszkańskiej misji i stoczenie walki z czterema mistrzami rewolweru. Ranny i porzucony przez wybrankę trafia pod opiekę grupy karłów i kalek mieszkających w jaskini, którym obiecuje przekopanie tunelu łączącego ich z pobliskim miasteczkiem.

Taka fabuła nie ma w sobie żadnych ciekawych wątków ani zwrotów akcji, nawet może wydawać się prymitywna i nielogiczna. Niemniej to nie fabuła jest w tym filmie istotna. Nie musi być ona prawdziwa. Znacznie ważniejsza jest tutaj niezwykła projekcja snów oraz emisja symboli i metafor. Przekonują o tym słowa padające już na początku: „Kret jest zwierzęciem, które kopie tunele pod ziemią w poszukiwaniu słońca. Czasami jego podróż prowadzi go na powierzchnię. Kiedy patrzy na słońce, ślepień”.

Jedne z tych symboli są oczywiste, inne budzą skojarzenia, jeszcze inne nawiązują do elementów filozofii lub kultury. Tytułowy El Topo (kret) może kojarzyć się z El Zorro (lis) – legendarnym obrońcą Meksykanów uciśnionych przez brutalnych gubernatorów. Jego czarny ubiór może być nawiązaniem do czarnej peleryny i maski, ale

może też przypominać strój rabina i odnosić się do religii. Pustynia kojarzy się z mirażem, wędrówka przez nią z poszukiwaniem Ziemi Obiecanej z typowymi elementami biblijnymi. Czasami symbole są bardziej złożone i wieloznaczne. Skała jest w Starym Testamencie źródłem wody, po tym jak Mojżesz uderza w nią laską. Woda tryska też ze skały poudrzeniu w nią kuli wystrzelonej przez El Topo. Przekraczanie mostu jest u Nietzschego symbolem zmiany ze zwierzęcia w człowieka. Podobnymi symbolami przeładowany jest gęsto cały film: zakopanie w piasku ulubionej zabawki i zdjęcia matki, nagie dziecko, przeniesienie chłopca przez kałuże krwi do kościoła, białe suknie zabitych kobiet, fakt powieszenia mężczyzny w kościele, mężczyzna ssący kobiece buty, banan pocięty na plastry mieczem, wizerunek nagiej kobiety ułożony na skale z ziaren fasoli, zastrzeleni bandyci osuwający się na ziemię, okruchy lustra, kręgi i spirale, ukrzyżowane zwierzęta, ptaki uwalniane przez kobietę z dłoni, rozbite na piasku żółwie jaja, zmiana gorzkiej wody w słodką, używanie latarni w środku dnia, przejście przez błotniste strumień, płonące truchła martwych królików, grób wypełniony pszczołami i plasterami miodu. Niekiedy symbole łączą się ze sobą, nabierając nowego znaczenia, np. broń używana przez mistrzów rewolweru, ich siedziby czy zwierzęta im towarzyszące.

El Topo wyróżnia się swoją stroną wizualną. Rzucają się w oczy niezwykle scenerie, na ekranie ukazują się nietypowi ludzie. Ciała ludzkie ukazywane są w swojej zwyczajności obok ciał zdeformowanych i okaleczonych. Zdjęcia są staranne, kolory wyraziste, dominuje czerwień, czern i biel. Zwraca uwagę mix niezwykle elementów dźwiękowych. Głośny śmiech miesz-

kańców miasteczka miesza się z cichym odgłosem wiatru. Uzyskany w ten sposób efekt podkreśla surrealistyczny charakter oglądanych scen.

Forma filmu wydaje się dominować nad przekazem. Możliwe jednak, że przekaz odbywa się gdzieś na poziomie podświadomości. Czy ciała leżące na piasku nie są ilustracją sentencji „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”? Czy zielone pędy roślin wyrastających na grobach nie mówią o zwycięstwie życia nad śmiercią? Niezależnie od odpowiedzi film Alejandra Jodorowskiego jest niezwykle widowiskiem.

Polecam bardzo!

Joanna CHMIELEWSKA

Kret – El Topo

kraj produkcji: Meksyk

gatunek: western, surrealistyczny

reżyseria: Alejandro Jodorowsky

scenariusz: Alejandro Jodorowsky

premiera: 17 grudnia 1970 (świat),
6 czerwca 2008 (Polska)

Wspomnienie o Marii Chlebovskiej



Maria Chlebovska

Nie mam żadnego doświadczenia w pisaniu tekstu będącego wspomnieniem osoby, która niedawno odeszła, a była mi przyjaciółką i jednocześnie osobą znaną wielu śremianom, zwłaszcza tym, którzy od ponad 15 lat współpracowali z czeskim Rożnowem, bratnim (partnerskim) miastem.

Maria Chlebovska była niestrudzoną propagatorką wymiany kulturowej, artystką, malarką, konserwatorką, pedagogiem artystycznym, animatorką różnych działań plastycznych z dziećmi i dorosłymi, człowiekiem ciepłym i dobrym. Nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma. Zaledwie parę tygodni temu rozmawialiśmy przez telefon, snując koncepcje kolejnego letniego pleneru w Rożnowie, który w ubiegłym roku tak zapadł w pamięć uczestnikom moich zajęć w Studiu Plastyki Śremskiego Ośrodka Kultury. Wspólnie z grupą Marii malowaliśmy pejzaże na górze Solan, u podnóża której przebiegło jej dzieciństwo. Było pięknie i sympatycznie.

Marię lub Maruszkę, jak brzmiało zdrobnienie jej imienia, poznałam w 2003 roku podczas wymiany grup młodzieży. Pojechałam z kilkoma dziewczynami do Rożnowa, Czesi dotarli do Śremu dwa lata później. Wspólnie prowadziłyśmy zajęcia plastyczne, obie grupy zwiedzały okolicę, poznając historię, zabytki architektury, dzieła sztuki w muzeach i galeriach, a także środowiska twórcze. To był wspaniały okres i bardzo kształcący dla młodych Polaków i Czechów. Zdarzyło nam się powtórzyć ten sukces wymiany, ale później zmienili się nasi protektorzy we władzach miasta i to działanie upadło, ale tylko to oficjalne, bo prywatne trwało nadal. Ilekroć byłam w Rożnowie, zawsze spotykałam się ze słuchaczami „umeleckiej szkoły” (fonetyczny zapis), w której pracowała Maria, oglądałam wystawy końcowo-roczne, prowadziłyśmy dyskusje o tematach prac i ich realizacjach, zastosowanych technikach i efektach finalnych. Przez wiele lat byłam nauczycielką rysunku i malarstwa w Poznańskim Liceum Sztuk Plastycznych, więc miałam podobne doświadczenia i obserwacje. Wprost nie mogłyśmy się



Maria Chlebovska i Ula Łukomska

nagadać... Maria wielokrotnie też była moim gościem w Poznaniu.

W 2014 roku pojechałam na lipcowy plener, organizowany przez Marię i jej kolegę z uczelni – rzeźbiarza Martina Gaję, na prawach artysty towarzyszącego. Udzielałam porad i korekt, trochę rysowałam... W kolejnym roku zabrałam przyjaciółkę, pracowałyśmy wspólnie. Oczywiście były to zupełnie prywatne wyjazdy, ale w październiku, po rozpoczęciu zajęć w ŚOK-u, pokazywałam zdjęcia moim kursantom i spora grupa wyraziła chęć wyjazdu na taki plener. Od paru lat bowiem, plenery zostały włączone w program naszych działań w Studio. Zabraliśmy kilka prac naszej grupy, by zademonstrować je czeskim koleżankom i kolegom, to był bardzo miły punkt programu, gdyż wyrażono podziw dla naszych artystycznych rozwiązań, zróżnicowanych technik i wykonania. Odnieśliśmy sukces, tym miłszy, że doceniony przez partnerów. Podczas całego pobytu Marią była naszym dobrym duchem, wszyscy ją polubili. Po powrocie zorganizowaliśmy wystawę poplenerową, którą latem chcieliśmy pokazać Czechom.

Wiadomość o nagłej śmierci Marii, przekazana mi przez jej córkę, wprost mnie powaliła. Tyle chciałyśmy jeszcze razem zrobić, tyle miałyśmy planów...

Czasem zastanawiałam się, jak to się stało, że ta urodna i miła Czeszka była mi tak droga. Może to wspólne tematy rozmów, nauczycielskie doświadczenia, te same obrazy, które uwielbiałyśmy, ci sami twórcy, którzy nas fascynowali, muzyka i książki, których tytuły sprawdzałyśmy w słownikach i na stronach internetowych, spacer po pagórkach i lasach i malowanie w zaciszu przyrody, zachwyty nad zabytkami, no i język nie stanowiący problemu... Na zawsze pozostanie w pamięci i sercu.

Ula ŁUKOMSKA
malarka

Dani Karavan *Reflection*

W monumentalnej przestrzeni Galerii Jednego Dzieła w Muzeum Śląskim w Katowicach prezentowana jest od ubiegłego roku i przez cały obecny instalacja Daniego Karavana o polskim tytule Odbicie (*Reflection*), przygotowana specjalnie z myślą o tym wnętrzu i naszym odbiorcy. W moim odczuciu to dzieło niezwykle. Wchodząc, przenosimy się do zaczarowanego świata luster, kryształów, rozproszonego i skupionego światła, powielonych odbić. Można stanąć w środku tej magicznej przestrzeni i przez chwilę poczuć się jak w Kryształowym Pałacu Królowej Śniegu z baśni Andersena, ale po chwili tej fascynacji uzmysławiamy sobie, że odbicia nas samych są celowym zabiegiem twórcy, zaczynamy bowiem współtworzyć jakiś fragment tej rzeczywistości, zostajemy przez nią wchłonięci. W tej biało-srebrnej przestrzeni ustawione są drabiny zaskakująco wysokie, trochę takie „do nieba”, które wciągają nasz wzrok w górę i prowokują do rozmyślań o ich symbolicznym przekazie. Lustra od dawna stanowiły element kreacji artystów, tworzyły fikcyjny świat nierzeczywistości, ale nigdy jeszcze nie zrobiły na mnie takiego wrażenia jak w pracy Daniego.

Autor jest znany w świecie z monumentalnych założeń rzeźbiarskich. Pochodzący z Tel Awiwu artysta tworzył instalacje w Izraelu, Niemczech, Francji, Korei Południowej czy Japonii. W Polsce pokazywał swoje prace w krakowskim Międzynarodowym Centrum Kultury w 2015 r.

Mając 13 lat, rozpoczął naukę malarstwa w szkole artystycznej w Jerozolimie, później studiował we Florencji i Paryżu. Interesował się techniką klasycznego fresku. W latach 60. XX w. tworzył reliefy i dekoracje ścienne zdobiące gmachy publiczne Tel Awiwu i Jerozolimy. Równolegle pracował jako scenograf, przygotował wiele de-

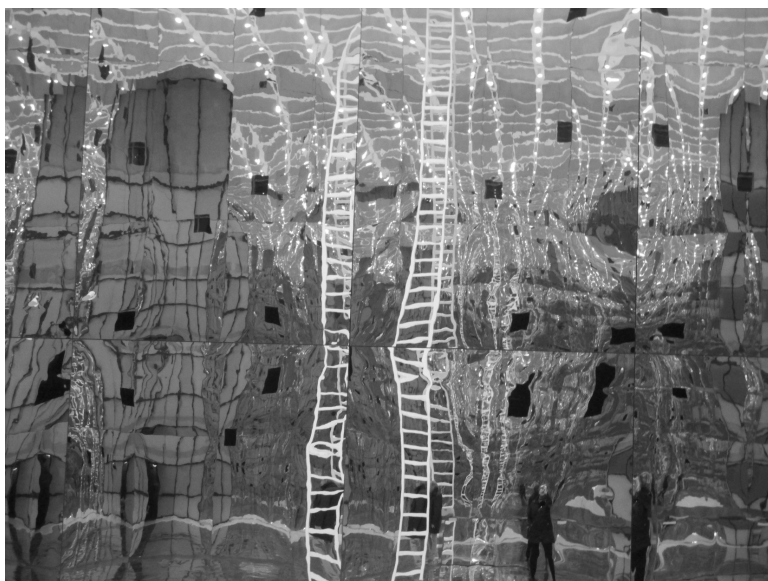
koracji przedstawień teatralnych i baletowych, współpracował z światowej sławy choreografką Marthą Graham.

Otrzymał wiele prestiżowych nagród, w tym Nagrodę Izraela w 1977 r. za osiągnięcia w dziedzinie rzeźby. W 1998 r. został laureatem japońskiej Premii Imperiale równoległe z naszym wybitnym reżyserem Andrzejem Wajdą, a rząd Katalonii w 2016 r. uhonorował go nagrodą Conca.

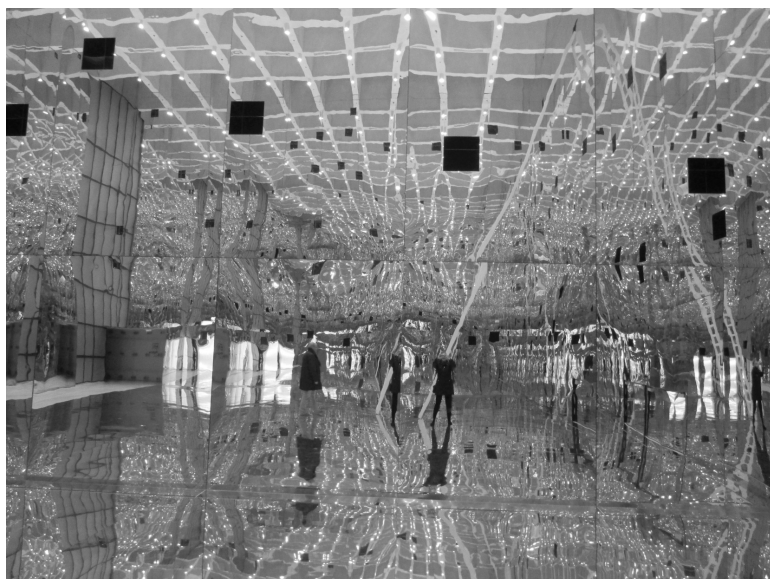
W swoich realizacjach plenerowych stara się łączyć elementy prostych brył geometrycznych z symbolicznymi elementami natury: wodą, drzewami (oliwnymi), fragmentami pejzażu, błękitem nieba. Uzyskuje w ten sposób harmonijne przenikanie się natury i sztuki, które tworzą nierozdzielalną, pełną symboli całość, a jednocześnie są oazą spokoju. Wiele swoich dzieł poświęcił upamiętnieniu ofiar ostatniej wojny światowej, wymowa innych nawiązuje do przestrzegania praw człowieka, neguje przemoc i niesprawiedliwość.

Kuratorką wystawy jest Anda Rottenberg, znana historyczka sztuki, krytyk i publicystka. Przesłaniem wystawy w Katowicach stał się fragment z *Hamleta* Williama Szekspira, w przekładzie Józefa Paszkowskiego: akt III scena 2. *Hamlet*: „Zastosuj akcję do słów, a słowa do akcji, mając przede wszystkim to na względzie, abyś nie przekroczył granic natury; wszystko bowiem, co przesadzone, przeciwne jest intencjom teatru, którego przeznaczeniem, jak dawniej tak i teraz, było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wiekopiętą ich i piętno”.

Ula ŁUKOMSKA
malarka



Dani Karavan Reflection



Kultura z górnej półki

Okiem belfra

Młody człowiek – konsument. To brutalna definicja, ale współczesny świat właśnie w ten sposób postrzega młodego człowieka, który ma za zadanie przede wszystkim konsumować. Ma kupować najmodniejsze ubrania, słuchać trendy muzyki, oglądać kinowe hity, używać najnowocześniejszego sprzętu. Jest celem rzeszy producentów, którzy zasypują ofertami, pobudzają potrzeby, o których nawet nie wiemy. W tym nieposkromionym chaosie niedojrzała istota próbuje odnaleźć swoje miejsce. Jedni popłyną z prądem i będą trendy. Inni, nieco zagubieni, będą starać się odnaleźć własną drogę i zachować indywidualizm w tej zunifikowanej rzeczywistości. By młodzież mogła stawiać czoła przeciwnikowi jakim jest kapitalistyczny rynek, musi mieć bazę, z której będzie czerpać wiedzę i siłę.

Wchodzę do klasy i rzucam propozycję – może wycieczka? Aprobata, entuzjazm, natychmiastowa gotowość – to pierwsza reakcja. Wycieczka oznacza, że nie trzeba przyjść do szkoły. Dopiero potem pada pytanie – a dokąd? Kino? Basen? McDonald's? Z pewną dozą niepewności podaję moją opcję – teatr. Pierwsza reakcja – zdziwienie, niedowierzanie, zniechęcenie... Zapewniam, że nie pojedziemy „na lekturę”. Tłumaczę, że teatr może być świetną rozrywką. Podaję propozycję dobrych sztuk w najlepszym wykonaniu. Wciąż niepewni podejmują jednak ryzyko. Jedziemy. Wrażen jest sporo. Trzeba zadbać o strój, nie zabieramy popcornu... no i dreszczyk emocji, bo przecież wszystko będzie „na żywo”, bez dubli, wprost przed naszymi oczami. No i stało się. Dwie godziny w świątyni sztuki. Droga powrotna utwierdza mnie w przekonaniu, że warto było ich przekonywać. Moi uczniowie wracają z wypiekami na twarzy, komentują wydarzenia, które oglą-

dali, rzucają tekstami ze spektaklu... I pytają, kiedy pojedziemy znów. Na pewno pojedziemy. I jest szansa, że oni nawet, gdy nie będą już mieli pani polonistki, która zorganizuje wyjazd, też pojadą. Bo wiedzą, że kultura z górnej półki jest dla nich. Są gotowi, by oprócz komercyjnej papki serwowanej przez media, posmakować czegoś wyrafinowanego, inaczej przyprawionego. Wiedzą już, że czasem trzeba pomyśleć o tym, co się widziało i przeżyło, warto o tym z kimś porozmawiać. Szukają drugiego dna, oceniają. To sukces, który cieszy pedagoga chyba bardziej niż wysoka zdawalność egzaminów. Wychowujemy kolejne pokolenia, wskazujemy możliwości. Wybór jest ich.

Czy jestem niepoprawną marzycielką, bo wierzę, że są uczniowie, których uda się zarazić miłością do teatru? Wbrew pozorom wcale nie jest to sfera marzeń. Od lat znajduję wśród moich uczniów grono tych, którzy chętnie udają się do teatru, wybierają dobre sztuki, długo potem o nich rozmawiają. Wystarczy pokazać alternatywę wobec rozrywki łatwej, szybkiej i niewymagającej myślenia. A teatr to świetna alternatywa. Pobudza do myślenia, uczy odbioru sztuki podawanej „na żywo”, wymaga interakcji.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Teatr, na szczęście

Tak, bo z okrucichów naszego życia wciąż tworzy jego nowe obrazy. Dobiera środki najdobitniej wyrażające przesłanie twórców, by dociec prawdy o nas, naszej kondycji, nadziejach, a także niebezpieczeństwach. Oczywiście, ten ostateczny sceniczny efekt może nam się wcale nie podobać. Ima to chyba miejsce w przypadku sztuki Wernera Schwaba (w przekładzie Moniki Muskały, w reżyserii Piotra Kruszyńskiego) *Prezydentki* granej w Teatrze Nowym w Poznaniu, na którą zorganizowało wyjazd Śremskie Stowarzyszenie Przyjaciół Teatru.

Ale od prawdy nie sposób uciec. Gdyby autor, zmarły przedwcześnie austriacki dramaturg, miał okazję spojrzeć na tę poznańską inscenizację, z pewnością zachwyciłby się jej scenografią i kostiumami (Justyna Łagowska). Brzydota i rozkład w każdym najmniejszym szczególe jest bowiem czwartą bohaterką na scenie. Trudno przecenić jak ważną. Bo dopiero na jej tle nabierają pełnego znaczenia wszystkie kwestie wypowiediane przez postaci dramatu.

Trzy kobiety na tym ludzkim śmietniku, licytując się swoimi nieszczęściami, jednak marzą. Irena (Bożena Borowska-Kropielnicka) o szczęśliwej wreszcie miłości i spokojnej przystani u boku solidnego rzemieślnika. I o tym, że syn przyjdzie po rozum do głowy i stanie się porządnym obywatelem. Na razie pije i marnuje się dzień po dniu. Ale to wszystko może się przecież odwrócić... Renta (Daniela Popławska), elegantka w tym najżałośniejszym, brukowym stylu, fantazjuje na temat podziwu parkowego grajka dla jej urody. A Maryjka... Maryjka (Małgorzata Łodej-Stachowiak) im głębiej zanurza ręce w ludzkich odchodach, na tym większą liczy nagrodę w niebie. Ale jej ofiara

życia na końcu sztuki nie całkiem jest oczyszczeniem. Bo to wszystko będzie się powtarzać i trywializować. Pomimo całego tego sztafażu wszechogarniającej brzydoty wychodzi się z tej sztuki z wewnętrzną potrzebą oczyszczenia, z czegośkolwiek, co obciąża nasze życie. Brawurowa gra trzech bohaterek ku temu konsekwentnie prowadzi. I ku całkowitemu odrzuceniu masek.

Ile ich jest? Bez liku. Nie na próżno symbolem teatru jest maska. Maska zdejmowana tylko na chwilę lub ponownie zakładana. Tak jak u Woody'ego Allena w sztuce *Zagrajto jeszcze raz*, *Sam* wyreżyserowanej na scenie Teatru Miejskiego w Lesznie przez Magdę Cwen-Hanuszkiewicz według inscenizacji Adama Hanuszkiewicza.

Allan (Karol Wróblewski) jest wielbicielem filmu Casablanca, a w szczególności Humphreya Bogarta, uosobienia silnych mężczyzn. Jego portret naturalnej wielkości dominuje scenografię i nie daje o sobie zapomnieć Allanowi. Ten daje mu rolę przewodnika i suflera w swoich nieudanych związkach z kobietami. Nasz bohater usilnie się stara wprowadzać w czyn jego cenne podpowiedzi, ale jakoś zawsze wychodzi to na opak. I nieraz Bogart (Jacek Ryś) musi wyjść z obrazu, żeby interweniować. Allan uwolni się od tego filmowego stereotypu dopiero wtedy, kiedy dotrze do niego, że to, co uważał za swoje wady, to zalety. Nie jest bowiem i nigdy nie będzie tym twardzielem. Jest wrażliwym i dowcipnym pisarzem, dobrym człowiekiem i wiernym przyjacielem. Uświadomi mu to Linda (Edyta Herbuś).

Stopniowo, choć przecież Linda powtarza *expressis verbis* – bądź sobą, dojdzie do przekonania, że tak jest rzeczywiście. Znajdzie swoją kulminację

w chwili, kiedy określenie „wierny przyjaciel” może zostać zakwestionowane. Linda jest wszakże żoną jego przyjaciela Dicka (Janusz Onufrowicz). A więc, tak jak w *Casablance*, to nowe, ożywcze uczucie trzeba będzie zdusić. Wybrać drogę obowiązku. Scena pożegnania, kiedy skąpe światło skierowane jest na Lindę, wzrusza. I to jest właśnie ten moment, kiedy na nowo trzeba założyć maskę, przywdziać kostiumy, które już się przecięż zdjęło. Cudowna, uroczą Edytą Herbuś pojawia się w pierwszych scenach zapięta na ostatni guzik – spodnium, koszula, krawat, uczesanie w elegancki kok, szpilki. W pewnym momencie jednak krawat znika, koszula jest luźniejsza, a w scenie z tańcem przywdziewa sportowe spodnie i buty. Na koniec, jakby okrywający wszystko „co było”, obszerny płaszcz podróżny. To może dla śledzących akcję widzów nie jest tak wprost zauważalne. Ale przecież kostiumy i scenografia (Magda Kowalska, Mariusz Chwiedczuk) też grają, tworzą spójną całość. Główny bohater Allan paraduje na scenie w kwiecistej koszuli. Ten luz to wyraz jego twórczego życia, sceptycznego dowcipu i życiowej nieporadności w wielu sprawach,

a nawet małej hipochondrii. Jego przyjaciel Dick, mąż Lindy, jest człowiekiem biznesu. Zatem wiecznie w garniturze i pod krawatem. Nie ma czasu na rozmowy, wymienia jedynie informacje. Ale Linda wie, że tym łatwiej go złamać i dlatego trzeba przy nim zostać.

Woody Allen nie byłby sobą, gdyby nie stworzył wokół głównych bohaterów pełnego wachlarza niezwykle, bardzo charakterystycznych postaci. Tak więc Nancy (Marta Walesiak), która porzuciła Allana, to koniecznie duża obfita blondyna w ognistoczerwonej kreacji, oczywiście w towarzystwie potężnego meksykańskiego macho. Jej zachłanność na życie podkreślają wymaginowane przez bohatera dzikie tańce. Ale jednak wyobraża sobie, że któregoś dnia Nancy przyjdzie, upokorzy się, wyzna swój błąd, a on powie wówczas NIE! Zaś sceny z próbami zapoznania się z coraz to wspanialszymi dziewczynami: Sharon (Joanna Zóraw), Giną (Katarzyna Kanabus) i kobietą z wystawy (Alicja Pietruszka) to po Allenowsku dowcipna, choć gorzka refleksja, że nie da się nic zrobić przeciwko sobie, choćby się obejrzało kolejne dwadzieścia kilka razy *Casablancę*.

W leszczyńskim teatrze premiera sztuki Woody'ego Allena *Zagraj to jeszcze raz, Sam* miała miejsce 8 października 2016 roku. A i innych premier w Śremie nie przegapiono. Wyjazdy organizuje śremska Biblioteka Publiczna. I to z tak wielkim powodzeniem, że są już zapisy na maj, choć w chwili kiedy to piszę, jeszcze nie wiadomo, na co i kiedy. Zdarzył się tymczasem jakiś szczęśliwy traf, że właśnie ze Śremu pochodzi 10-tyśięczny widz tego teatru. Dyrekcja leszczyńskiej sceny uczciła szczęśliwca Złotym Biletem, który daje przywilej wolnego wstępu wraz z osobą towarzyszącą do końca tego sezonu. To właśnie niżej podpisanej tak się udało, a będzie jeszcze na co popatrzeć. Teatr Miejski w Lesznie promieniuje już bowiem na cały region, zarówno ofertą jak i poziomem artystycznym. Budzi podziw odwaga artystów i samorządowców, którzy zdecydowali o istnieniu takiej placówki. Tylko chuchać i dmuchać...

Aktorstwo to jeden z najtrudniejszych zawodów świata. I to nie tylko ze względu na niepewność co do jego możliwości uprawiania. Ale przede wszystkim ze względu na ogromny wysiłek two-



rzenia iluzji. Widz nie może go zauważyć, a iluzję trzeba stworzyć błyskawicznie, z chwilą pojawienia się na scenie. Jest to też największa, nieprzenikniona tajemnica tej profesji. Obserwuję to zwłaszcza w przypadku mini przedstawień małoobsadowych sztuk wystawianych na improwizowanych scenach. Ostatnio w sali restauracji Relax w Śremie zaprezentował się Teatr Afisz z Torunia ze sztuką *Miłość po włosku*. W reżyserii Jacka Pietruskiego i opracowaniu muzycznym Krzysztofa Zaremby. Ten kabaret miłosnych nieporozumień opowiedziany jest „śpiewająco” do muzyki włoskich przebojów – między innymi Drupiego, Adriano Celentano, Francesco Napoli.

To nie pierwszy raz, kiedy toruńscy artyści pokazują się świetnie wokalnie i łączą to z solidnym rzemiosłem aktorskim. Jak szybko cztery zwyczajne osoby (Anna Katarzyna Chudek, Grażyna Rutkowska-Kusa, Krzysztof Parda, Krzysztof Zaremba) – matka jeszcze w pretensjach, córka myszka, odnaleziony po latach tatuś i niedoszły zięć, podkreślając kostiumem i rekvizytem swoją

zwyczajność, tworzą nieprzekraczalną dla widzów strefę iluzji. Chyba, że sami wychodzą do widowni. Ale w ten dotykalny sposób pozwalają nam tę iluzję poczuć, dopełnić wrażenie lekkości. A te, jak wiadomo, osiąga się z trudem. Zławszcza, że intryga jest prosta. Oto dwaj hydraulicy dzwonią do pewnego mieszkania. Jego właścicielka aż podskakuje na myśl, że oto w jej progi zawita wspaniały młody mężczyzna, na co dzień specjalista wod.-kan., wieczorami seksowny tancerz na rurze. Sprawy się komplikują, kiedy okazuje się, że starszy majster to dawny kochanek mamusi, ojciec jej dorosłej córki. A już przez zupełny przypadek młody pomocnik to narzeczony tejże córki właśnie, który boi się, że z tym tańcem to nie może się zdradzić. Wszystko oczywiście kończy się dobrze. Tylko... Tylko to trzeba jeszcze zagrać, żeby było lekko, dowcipnie i przyjemnie. Ale na szczęście na to mamy teatr! I z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru wszystkim go tworzącym gorące podziękowania.

Barbara NOWICKA

Zagraj to jeszcze raz, Sam na scenie Teatru Miejskiego w Lesznie



marzec kwiecień 2017



63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

COMMENSURABILITY

Bogusław Lepiesza
Matylda Lepiesza

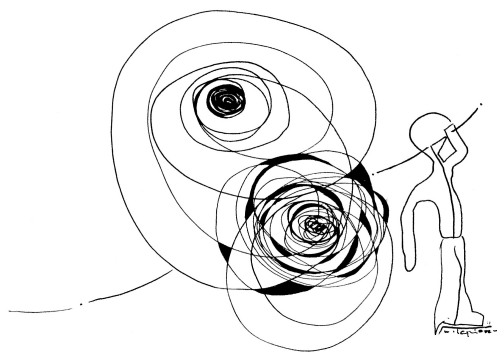
malarstwo – grafika – fotografia

14-31 maja 2017

Wystawa jest naszym – Ojca i Córki – spotkaniem artystycznym. Dedykuję ją Mamie, Mirze Musielak, w dniu jej urodzin.
Matylda Lepiesza



Bogusław Lepiesza *Polagra*



Matylda Lepiesza *Intro*



Bogusław Lepiesza *Outsiderzy*

MATYLDA LEPIESZA

Przez wiele lat związana byłam z muzeum Pollok House, zaczynałam od stanowiska tłumacza dla francuskich oraz polskich turystów, by ostatecznie zostać przewodnikiem wycieczek anglojęzycznych oraz asystentem Wydziału Edukacji. Podczas pracy w muzeum otrzymałam dyplom z Konserwacji Zabytków, Pielęgnacji Kolekcji Artystycznych, National Trust for Scotland. Dużo czasu i energii poświęciłam na przygotowanie unikalnego materiału promującego National Trust of Scotland. Objazdzałam z aparatem fotograficznym najważniejsze zabytki. Dokumentacją, poza opisem i charakterystyką, były czarno-białe zdjęcia, które miały przenieść widza jak najbliżej realnego czasu powstania obiektów. Wyzwaniem było takie kadrowanie i przetworzenie materiału wyjściowego, by zniknął cały współczesny sztafaż, zdjęcia miały stać się wehikułem czasu. Ten projekt powstawał w koordynacji i pod czujnym okiem Narodowego Działu Edukacji i Szkolnictwa. Został wykorzystany w kampanii edukacyjnej w latach 2008-2009 na terenie Wielkiej Brytanii.

Z wielkim sentymentem wspominam pracę w Pollok House. Oprócz wspaniałego zespołu ludzi, z którymi miałam przyjemność pracować i uczyć się, muzeum posiada dużą, prywatną kolekcję malarstwa hiszpańskiego, w tym dzieła El Greco, Goi i Bartolomé Estebana Murillo. Są też obrazy Williama Blake'a oraz, ku mojej osobistej radości, Hieronima Boscha. Dom-muzeum znajduje się w zabytkowym Pollok Country Park.

Równolegle współpracowałam z Muzeum Roberta Burnsa (powszechnie uważanego za narodowego poetę Szkocji), piastując również stanowisko asystenta Wydziału Edukacji i Promocji Artystycznej. Przez krótki czas miałam przyjemność pracować również dla muzeum House for an Art Lover.

Jestem niezależnym artystą wizualnym, łączę malarstwo, rysunek, techniki sitodrukowe, fotografię oraz moje zamiłowanie do literatury. Wierzę w wolną kreatywność i osobistą ekspresję.

*I mieć jeszcze możliwość zadać pytanie Lemowi...
Czy dusza to Atomy...?*

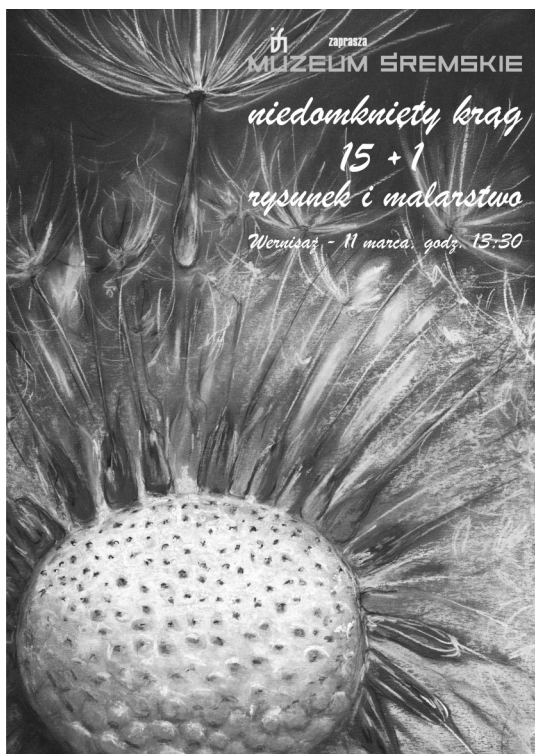
BOGUSŁAW LEPIESZA

Z wykształcenia jestem filozofem i artystą malarzem, absolwentem UAM i UAP. Studiowałem również etnolingwistykę ze specjalnością język chiński (w tym stypendium na Uniwersytecie Szanghajskim) oraz Intercultural Communication (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Zawodowo uprawiam grafikę użytkową.

Bliska jest mi postawa artystów, znanych przed wiekami w Chinach jako wenren (po polsku można to czytać: łen-žen). Byli to uczeni, dla których praca nad obrazem, rysunkiem, kaligrafią czy poematem była szczególnym rodzajem medytacji. Nie czynili tego zawodowo. Nie było to ich źródłem utrzymania.

Jest mi bliskie podejście do pracy artysty przypisywane Willemowi de Kooningowi. Podobno za każdym razem, kiedy przystępował do malowania, starał się zaczynać od zera, to znaczy nie chodziło mu o wykonanie czegoś według wcześniej przygotowanego planu. Krótko mówiąc, chciał być zaskakiwany przez to, co się pojawi. Dlatego bywało, że – czy to malując, czy rysując – czynił to z zamkniętymi oczami.

Ważny jest dla mnie sam akt tworzenia, proces, czas, który spędza się nad płótnem, papierem. Nie znaczy to, że rezultat jest drugorzędny, bez znaczenia, ale chwile, w których coś się dopiero pojawia są podstawą. Nie ma tu specjalnie miejsca na jakąś misję, przesłanie albo wytworzenie produktu. W związku z tym przypominam sobie historię Piotra Potworowskiego, który utrzymywał się w Paryżu z budowania drewnianych modeli żaglowców, pragnąc chronić swoje malarstwo od presji czy też konieczności rynku.



Niedomknięty krąg, odsłona druga

Natalia Ceglarz
Agnieszka Dzikowska
Wanda Jabłońska
Aleksandra Jarno
Ewa Jędrzejewska
Edyta Krawczyk
Ilona Kuta
Mariola Kwarta
Ilona Marciniak
Paulina Oczkowska
Anna Radajewska
Maria Selmoser
Maria Sibila
Halina Szmyt
Mirosława Tomczyk
oraz Urszula Brylewska-Łukomska

W wystawie biorą udział uczestniczki zajęć Studia Plastyki Śremskiego Ośrodka Kultury oraz członkinie poznańskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Twórczych "Po godzinach", które tworzą luźną grupę towarzyszącą pracującą wspólnie na plenerach i wyjazdach edukacyjnych. Pokazywane prace są efektem działań w ostatnim roku. To druga odsłona wystawy pod tym samym tytułem, prezentowanej w Muzeum Śremskim cztery lata temu. Zmieniają się twórczynie, krąg się nie domyka...

Kuratorką wystawy jest artystka malarka Urszula Brylewska-Łukomska.

Wystawa w galerii Muzeum Śremskiego potrwa do 22 marca 2017 roku.



WIELKOPOLSKA

TU WARTO BYĆ, TO WARTO ZOBACZYĆ



WYSTAWA FOTOGRAFICZNA KAROLA BUDZIŃSKIEGO

WERNISAŻ
22.04.2017. godz. 18:30

Wystawa potrwa do 8 maja.



MUZEUM
ŚREMSKIE

śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

Z CYKLU "GRAMY Z NAJLEPSZYMI"

SAAGARA WACŁAW ZIMPEL



Wacław Zimpel - gitara
Dariusz Sikora - śpiew, koncert perkusji elektrycznej, mównica
Przemysław Wąsik - skrzypce, koncert perkusji elektrycznej
Krzysztof Kozłowski - gitara
Tomasz Kozłowski - gitara

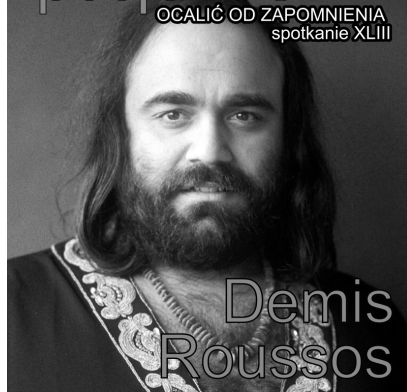
15 MARCA KINOTEATR "SŁONKO"

PROGRAM:
15:30 WARSZTATY - WSTĘP WOLNY
19:00 **KONCERT** - BILETY: 30 ZŁ

 REZERWACJE W ŚREMSKIM OŚRODKU KULTURY
LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904.

pasjonaci

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA
spotkanie XLIII



Demis Roussos

22 marca
(ŚRODA)
GODZ. 17:00 KINOTEATR SŁONKO

 **WSTĘP WOLNY** ZAPRASZAMY

W PROGRAMIE M.I.N.
* białe kraki czarnych krągów
* spotkanie moderuje Zbigniew Hoppe
* materiały archiwalne

tel.: 61 28 35 904

SCENA TEATRALNA KINOTEATRU "SŁONKO"

prezentuje:
**SPEKTAKL TEATRALNY
DLA NAJMŁODSZYCH**

WITAMINKI



Kinoteatr "Słonko"
23 marca godz. 17:00

 Bilety: 8 zł Rezerwacje w SOK lub pod nr tel.: 61 28 35 904.

KONCERT

promujący wydawnictwo *Camping Hill*:
SYRENY EP



**07.04.2016
godz. 20**
Kinoteatr Słonko
wstęp wolny
rezerwacje:
61 28 35 904
www.sok.srem.pl

**POWIATOWO-GMINNY
JARMARK
WIELKANOCNY**
na śremskim rynku
Złota Niedziela
9 kwietnia 2017
godz. 10:00 - 15:00

PROGRAM SCENICZNY:
11³⁰ CAPELLA CANTA BRASS
Koncert okolicznościowy i święcenie palm
przez ks. Prałata Mariana Bruckiego
KONCERT TEATRU MUZYCZNEGO „RADA”
13⁰⁰ CZĘŚĆ I - „KOZACY”
14⁰⁰ CZĘŚĆ II - „TAŃCE ROMSKIE”
13⁴⁵, 14⁴⁵ - ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU
„ŚREMSKA PALMA WIELKANOCNA”
wręczenie nagród

PONADTO:
• KIERMASZ RĘKODZIEŁA I PRZYSMAKÓW
ŚWIĄTECZNYCH
• HAPPENING „ALE JAJA”
• WYSTAWA PALM WIELKANOCNYCH
• ŻUR ŚWIĄTECZNY - poczęstunek





**MAREK
PIEKARCZYK**
TRIO AKUSTYCZNE
TADEUSZ APRYJAS
JACEK BOROWIECKI



21.04
GODZ. 19:00
KINOTEATR
„SŁONKO”

W PRZEDSPRZEDAŻY BILETY 35 ZŁ
DO DNIA 24 MARCA WŁĄCZNIE
DLA UCZNIÓW SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH
6 WIEJSIOWEK W CENIE 20 ZŁ

BILETY: 45 ZŁ
REZERWACJE W ŚREMSKIM OŚRODKU KULTURY
LUB POD NR TEL. 61 28 35 904.

*WIEJSIOWKI ZOSTANĄ WYŁOSOWANE 15 MARCA



**XXV POMARAŃCZOWY KONKURS
RECYTACJI POEZJI I PROZY**
**I POMARAŃCZOWY KONKURS
POEZJI ŚPIEWANEJ
- BUŁAT OKUDŻAWA**
XX ROCZNICA ŚMIERCI



KINOTEATR „SŁONKO”

8 maja godz. 10:00
Uczniowie Szkół Podstawowych
i Gimnazjalnych
Poezja i proza

9 maja godz. 10:00
Uczniowie szkół gimnazjalnych
i ponadgimnazjalnych

Piosenki
Bułata Okudźawy



gość specjalny: **ANDRZEJ KORYCKI**

karta zgłoszenia i regulamin: www.sok.srem.pl

Śremianie w Teatrze Miejskim w Lesznie

10 września 2016 roku, premierą sztuki *Moralność Pani Dulskiej*, zainaugurował swoją działalność Teatr Miejski w Lesznie. Tym samym Leszno stało się najmniejszym ośrodkiem miejskim posiadającym stałą scenę repertuarową. Warto dodać, że jest to pierwszy publiczny, samorządowy teatr powstały w Polsce od 40 lat.

Twórcą Teatru i jego dyrektorem jest Błażej Baraniak, kierownikiem artystycznym aktorka Beata Kawka. Na leszczyńskiej scenie występują m.in. Elżbieta Zającówna, Elżbieta Kijowska, Beata Kawka, Barbara Wrzesińska, Edyta Herbuś, Jan

Peszek, Błażej Peszek i wielu innych znanych aktorów, a także młodzi adepci sztuki teatralnej po Akademii Teatralnej w Warszawie i wydziale wrocławskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie.

Od samego początku działalności Teatru Miejskiego w Lesznie stałymi widzami są śremscy teatromani. Wyjazdy na spektakle organizuje Biblioteka Publiczna w Śremie. Pierwszy wyjazd zorganizowany został 17 października 2016 r. na spektakl *Nie strój zdbi nieboszczyka* (reżyseria: Błażej Peszek, aktorzy: Jan Peszek, Błażej Peszek,

Barbara Nowicka ze złotym biletem na scenie Teatru Miejskiego w Lesznie





Śremianie w Teatrze Miejskim w Lesznie

Katarzyna Krzanowska). Oczarowani spektaklem śremianie chyba zakochali się w leszczyńskim teatrze, albowiem prawie wszyscy uczestnicy (56 osób!) zadeklarowali chęć obejrzenia następnego przedstawienia. Okazja była już w listopadzie. Niestety, na *Abonament na szczęście* (muzyczny spektakl oparty na twórczości Agnieszki Osieckiej) nie mogli pojechać wszyscy zainteresowani – zabrakło miejsc w autokarze! Ale nikogo nie pozostawiamy bez nadziei – „pogotowie teatralne” tworzy listy rezerwowe widzów, którzy w pierwszej kolejności uwzględniani są przy kolejnych wyjazdach do teatru. Śremianie tak pokochali leszczyńską scenę, że kiedy nie ma jeszcze repertuaru na dany miesiąc, zapisują się na „koty w workach”, czyli na nie wiadomo jakie spektakle i w jakich terminach!!!

Wyjazd zorganizowany przez bibliotekę 25 lutego 2017 roku na spektakl *Zagraj to jeszcze raz Sam* zakończył się uroczystością nadania złotego biletu dla 10.000 widza leszczyńskiej sceny. Jest to oso-

ba, która siedzi w siódmym rzędzie na czwartym miejscu – ogłosił po spektaklu dyrektor leszczyńskiego teatru Błażej Baraniak. Miejsce to zajmowała śremianka pani Barbara Nowicka, która z rąk prezydenta Leszna Łukasza Borowiaka otrzymała złoty bilet, uprawniający do wstępu na wszystkie spektakle do końca sezonu teatralnego dla dwóch osób. „Spadło to na mnie bardzo niespodziewanie. Może jest to taki uśmiech od losu za moją pięćdziesięcioletnią wierność, którą mam dla teatru. W leszczyńskim Teatrze Miejskim jestem po raz pierwszy. Wyjazd zorganizowała nasza śremska biblioteka. Muszę szczerze przyznać, że jeżeli włodarze wytrwają, to wróżę tej scenie bardzo duże powodzenie. Leszno wyrobiło już sobie markę” – wyznała w wywiadzie dla Radia Elka pani Barbara Nowicka.

Z marki tej na stałe już korzysta śremska Biblioteka, która w połowie maja w Teatrze Miejskim w Lesznie będzie po raz piątnasty.

Iwona KONDRAS

Poetycka Przystań

Michał Ślenzak

spotkanie poetyckie

27 marca 2017 17:00

(salonik prasowy)

 **Biblioteka**
Publiczna im. H. Świąckiego
w Śremie

KLUB ŁOWCÓW PRZYGÓD
zaprasza

30 marca 2017, 11:00

ŁUKASZ WIERZBICKI: Historie niezwykłych wypraw



KONNO przez AFRYKĘ

Uniwersytet
ludzi ciekawych świat@

Biblioteka
Publiczna im. H. Świętokrzyskiego
w Sierpcie

30 marca 2017
18:15

Łukasz Wierzbicki
redaktor, pisarz, podróżnik

31 marca 2017 17:00
URODZINY ANDERSENA

impreza czytelnicza dla dzieci :

- odwiedziny H.Ch. Andersena
- wybór najładniejszego przebrania
- zabawy i konkursy
- degustacja tortu urodzinowego
- spektakl Teatru Cieni

LATARENKA



ZAPISY: wypożyczalnia dla dzieci
(ilość miejsc ograniczona, impreza płatna 10 zł)

Biblioteka
Publiczna im. H. Świętokrzyskiego
w Sierpcie



Danuta KONIECZKA-ŚLIWIŃSKA – współautorka *Dziejów Śremu*

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: muzeum@srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – plakat wystawy COMMENSURABILITY
obraz Bogusława Lepieszy

IV – foto: Julia Mozgawa i Christoph Czapla

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208 www.drukarniasrem.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

ABISYNIA (BETLEJEMKI)

Prymitywne osiedle (dachy domów kryte trzcina) za Nową Strzelnicą, obok kręgielni, zbudowane w latach 1940-1942 dla Niemców z Ukrainy (tzw. Schwarz Meer Deutschen) m.in. z cegieł rozebranego domu przedpogrzebowego z cmentarza żydowskiego. Zburzone w 1989 roku. Na jego miejscu nowe bloki.



Foto: Zbigniew Szmidt, 1988 r.



Foto: Piotr Pieczykolan, 2016 r.

